



Ludwik Orpiszewski.

1810—1875.

Czterdzieści kilka lat ubiegło od chwili listopadowego powstania, a okres porozbiorowych dziejów naszych, który historia może okresem emigracyjnym nazwie, już jest właściwie zamknięty: wszystko się w około nas, a wiele i w nas samych zmieniło; dawna emigracya, o której słusznie powiedziano, że była narodem w streszczeniu, w ogromnej większości zaległa już świata całego cmentarze; ucichły jej głosy, rozwiało się wiele jej marzeń, ułud, najdroższych nadziei, a fale życia uniosły gdzieś daleko nawet uczucia i myśli nowego pokolenia; od czasu klęsk ostatnich samo oblicze społeczeństwa naszego zdaje się odmieniać pod niejednym względem, a przyszłość Bogu wiadoma. Wierzimy, iż w miłosierdziu swoim wszystko On ku dobremu naszemu skieruje, i kiedy się zamkną dawne, nowe pola zasługi przed nowymi otworzy pracownikami i dla nowych zadań nowych ludzi wzbudzi, pomagając im pomimo dróg odmiennych, w duchowej z przodkami spójni snuć dalej wątek historycznego żywota i dorabiać się dla narodu zmiłowania Bożego; ale pomimo to, przy każdym nowym grobie, jaki nam na obszernym mogilniku naszym przybywa, żal serce ściska nie tylko za odchodzącymi, ale i za tą przeszłością, której oni byli przedstawicielami, za tym skończonym już okresem dzie-

jów naszych, pełnym bądź co bądź wzniosłego uczucia, a w którego omyłkach nawet tkwił najczęściej szlachetny pierwiastek. Kto mu się bliżej a sumiennie i bezstronnie przypatrzy, ten wyzna zaprawdę, że było w nim przed kim czoła uchylić, było kogo uszanować głęboko, było komu z serca błogosławić. A mówiąc to, nie mamy jedynie na myśli tych kilku lub kilkunastu postaci, całemu narodowi znanych, przez cały już naród uczczonych, które same jużby wystarczyły na zcharakteryzowanie tego okresu; odnosi się to jeszcze do wielu ludzi skromniejszych zdolności i zasług, w których życiu jednak tyle było podniosłych uczuć, tyle prawdziwej cnoty, że rozpamiętywanie tego życia może stać się dla serc naszych prawdziwym kordyalem. — Jednym zaprawdę z takich ludzi między nami był ś. p. Ludwik Orpiszewski, nie dawno w Lozannie zmarły; jemu tych słów kilka poświęcić chcemy. Według hierarchii świata tego, nie zajmował on naczelnego miejsca ani w kraju, ani na wychodźstwie, choć zdolnościami i służbą swą w Ojczyźnie poślednim też nie był; jeden z dzielnych ochotników i żołnierzy wojny 1831 r., później w Paryżu redaktor wybitnego emigracyjnego dziennika, spełniający misye polityczne, uzdolniony pisarz i dziejów narodowych miłośnik, na wielu drogach sprawie narodowej służył; w hierarchii zaś duchowej, o ile ludziom sądzić o tem można, stać musiał wysoko, bo wszystkich obowiązków męża, ojca, obywatela ściśle dopełniał, bo syn Kościoła wierzący i pokorny, Kościół i Ojczyznę wiernie i statecznie miłował, pamięć zaś męża według serca Bóżego po sobie zostawił, nie tylko między swoimi, ale nawet wśród społeczności wiarą mu i narodowością obcej. Tacy jak on ludzie, chociaż nie dają narodowi blasku, jakim go wyjątkowe darzą geniusze, za to bardziej może od tych ostatnich o zdrowiu samego społeczeństwa świadczą; nie będąc przewodnikami, wodzami, zbawcami całych pokoleń, zawsze są ich prawdziwą godnością, podporą, ozdobą, a do wdzięcznej ich pamięci niezaprzeczone mają prawo. Dla tego znowu stosunku ich do narodu, poznanie ich życia, na stan samego społeczeństwa, do którego należą, więcej nieraz światła rozlewa, niż wyjątkowe koleje wyjątkowo udarowanych jego członków.

I.

Życie ś. p. Ludwika Orpiszewskiego należy właściwie do emigracyjnego okresu, bo noc listopadowa znalazła go młodzińcem i zaledwo dwadzieścia lat liczył, kiedy już kraj opuścił na zawsze; cały zatem wiek mężki zeszedł mu na wychodźstwie, i wśród niego to wyrósł on na człowieka, którym słusznie pochlubić się było można, którego poznawszy nie podobna było nie uszanować i nie ukochać. Że jednak mężkie lata zazwyczaj to tylko w nas rozwijają, z czem przychodzimy na świat i co w nas młodość zasiała, więc też chcąc mówić o jego życiu, koniecznie do tych dni rannych zejść nam potrzeba, a to wiąże opowiadanie nasze z przedlistopadowymi czasami i życiem wiejskiego obywatelstwa naszego w tej epoce. Nie było ono nie tylko tak bezładnem i anarchicznem jak powtarzają nieraz, tak nieodzownie na upadek i śmierć skazanem jak utrzymuje wielu, jak chcieliby nam wmówić; ale przeciwnie, zawierało w sobie to wszystko, co naród w ciągu wieków w sobie wyrobił, co zamknął w obyczaju i długą tradycją uświęcił, a co uratowane z politycznego potopu, życie mu wśród wszystkich nieszczęść przechować pozwoliło. Cały ten zasób bogaty, który później w kwiat bujny się rozrósł i pełny w końcu wydał owoc, zawdzięczał Ludwik Orpiszewski, jak wszyscy najlepsi i najszlachetniejsi u nas ludzie jego czasu tej atmosferze moralnej, jaka otaczała jego kolebkę i młodzińcze lata, atmosferze bogobojnej, polskiej, szlacheckiej rodziny.

Gniazdem jego były Kujawy, gdzie mieszkali przodkowie; krewnych swego imienia nie miał, bo ojciec i dziad jego byli jedynakami, ale za to po matce, Szymońskiej z domu, która aż dziewięcioro liczyła rodzeństwa, spokrewniony był ze Stepnowskimi, Lasockimi, Świnarskimi. Najstarszy z jego wujów, Szymoński, był szambelanem Stanisława Augusta; najmłodszy, razem ze szwagrem swoim Świnarskim, posłował w 1831 r. w Warszawie. Ojciec naszego Ludwika Józef miał lat 16 kiedy wybuchło kościuszkowskie powstanie; na wieść o niem opuścił szkoły i zaciągawszy się do szeregów, bił się w nich do końca; po klęsce Maciejowickiej i ostatecznym

upadku kraju szablę na pług zamienił i obyczajem szlacheckim oddał się gospodarstwu rolnemu, które już odtąd stałym jego było zawodem.

Po kilkunastu latach, w 1809 r. pojął za żonę córkę byłego pisarza województwa rawskiego, Maryą Szymońską. Ojciec jej, p. Stanisław, możny, znacznego wpływu w okolicy wielkiej powagi człowiek, był synem dawnego szlachcica; gościnny dla wszystkich, dla poddanych ludzki, a dla synów własnych surowy, wdrożył córkę do karności domowej; według dawnego wychowania obyczaju, chociaż do tłumnych w rodzicielskim domu, i do daleko jeszcze świetniejszych nad nie zjazdów, w Skierniewicach, u biskupa Krasickiego przyzwyczajona, nie pozbyła się ani dawnej kobiet naszych pobożności, ani zamówienia w zaciszu domowym i obowiązkach rodzinnych; wielkiej tkliwości serca i poetycznemu jak syn powiadał usposobieniu, towarzyszył w niej hart niezwykły, a przy serdecznej dla męża miłości miała zawsze nieograniczoną ufność w jego sądzie, energii i zdolnościach. W ład też, jak mówi poeta, szło im wspólne życie; bo wspierali się i dopełniali niejako wzajemnie. On zręczny, szerokiej pamięci, żywego objęcia, zdrowego sądu i wielkiej przytomności umysłu, zdawał się posiadać wszystkie zalety potrzebne, aby dobrze poprowadzić każde przedsięwzięcie; ale zbywało mu na przedsiębiorczości. Ona ten niedostatek zastąpić i w potrzebie otuchą go natchnąć umiała. Jej namowom był winien, że się odważył wziąć w dzierżawę obszerne dobra Strzeleckie. Praca w nich z powodu opuszczenia, w jakim się znajdowały, była uciążliwą, ale Pan Bóg pobłogosławił; podniesione znacznie gospodarstwo, rozprowadzone wielkie trzody owiec, nawet piękna stadnina, w której kościuszkowski żołnierz jako szlachcic polski się kochał, postawiły go, jak powiadano, na nogi, i po kilku latach, gdy się dzierżawa skończyła (w 1821 r.), mógł już bez troski osiąść na nowo w kujawskiej swej wiosce, Kłobką zwanej, gdzie resztę życia spędził, zawsze czynny, szanowany przez obywatelstwo, które go na radcę wojewódzkiego przed 1831 rokiem powołało, a kochany przez żonę; ta chętnie mawiała dzieciom: „Gdyby wasz ojciec nie zaniedbał był nauk i czem innem się zajął niż gospodarstwem, liczyłyby się do znakomitych ludzi w kraju.“

Pierwszem dzieckiem Orpiszewskich był nasz Ludwik; przyszedł na świat d. 24 sierpnia 1810 roku, w Roszkowej-Woli nad Pilicą, gdzie się matka jego udała, aby pierwszy połów w domu rodziców swych odbyć; w ciągu dwunastu lat następnych, przy błogosławieństwie Bożem, przybyło mu jeszcze czterech braci i sióstr trzy; wszyscy rośli i hodowali się razem. Najpierwszą i najdroższą, jak sam powiadał, przyjaciółką, daną mu przez Opatrzność, była ukochana matka; przy niej, malutkie dziecko, długie godziny na słuchaniu opowiadanych historyek spędzał, a od tego czasu, do chwili ostatniego z nią na granicy polskiej pożegnania, żadne nad jej towarzystwo nie było mu miłszem i droższem; we wspomnieniach swoich, które na dni niewiele przed zgonem dla rodziny spisywać zaczął, tej to ukochanej matce przypisywał cały wątek dalszego moralnego żywota, cały kierunek myśli, uczuć i upodobań swoich, zamiłowanie życia domowego, cichego rodzinnego, a także i gorącą miłość ojczyzny. Rodzina zresztą cała urządzoną była patriarchalnie; należały do niej dwie Ludwika babki: Orpiszewska i Szymońska, mieszkające stale przy dzieciach, otoczone poszanowaniem ogólnem, naczelne zawsze zajmujące miejsce, najwyższe dla dziatwy wyrocznie; w ojcu skupiała się władza domowa, a kiedy on za interesami oddalić się musiał, zastępowała go matka. Widok czynnego zawsze ojca, praca jego około roli, ustawna przez to styczność z ludem wiejskim i jego zatrudnieniami, wszystko to dodawało zdrowia duszy, jakiego miasto często nam odmawia; przyjazne zaś z licznem sąsiedztwem stosunki rozwijały miłość ludzi, szczepiły to braterstwo, które dawnego życia u nas stanowiło podstawę.

Ukochana Orpiszewskiego Kłobka miała też wdzięczne położenie; leżała w tak zwanych borowych Kujawach, świecących wśród ciemnych lasów i lasków iglastych licznymi wód zwierciadłami; dwór rodziców Ludwika rozłożony na pagórkach, miał u spodu szerokiego przed domem mieszkalnym dziepzińca, piękny swój staw także; wybiegająca z niego rzeczulka o kikadzieśiat kroków dalej, obracała młyn wodny, a w niewielkiem ztamtąd oddaleniu leżało jezioro Radzikowem zwane, którego brzeg przeciwległy gęsta zaczerśniała puszcza; za nią, od jeziora ciągnęły się łąki przestronne. Dwór, powszechnym wtenczas w Polsce obyczajem, miał obszerny i starannie utrzy-

mały ogród i tak zwany sad owocowy, a za otaczającym go parkanem rozsiadła się była wioska z rynkiem swoim pośrodku. Był bliźniutko i stary, drzewami porośły kopiec, zawierający w sobie sklepy dawnego niegdyś zameczyska, a na osobnym wzgórku schludny kościółek z cudownym obrazem św. Prokopa na koniu. Do tego kościółka, co roku, dnia 6 lipca, zchodziła się i zjeżdżała cała ludność okoliczna na odpust, a wtenczas na cudownym obrazie św. rycerza-męczennika zawieszano przeznaczoną na tę uroczystość, a w zakrystyi przechowywaną srebrną zbroję. U stóp wzgórza, obok źródła posiadającego jak wierząco moc uzdrawiającą, leżał cichy cmentarz, na którym spoczęły z kolei obydwie babki naszego Ludwika, i gdzie ojciec jego wcześniej był grób dla siebie przygotował. Do tego miejsca, rodzina w początkach na przechadzki, a później, gdy już i własne miała tam groby, na wspólną często udawała się modlitwę. Nabożeństwo w kościółku św. Prokopa odprawiał zawsze, bardzo częsty gość w Kłobce, ksiądz proboszcz Uklejski, przezwany Kościuszką dla długich włosów i podobieństwa w rysach twarzy do ukochanego naczelnika narodu; nierzadko też wieś odwiedzali i kwestarze z sąsiedniego jej Zgromadzenia OO. Reformatów.

W takim to gniazdku, pod boki kościółka z cudownym obrazem, wśród błogosławionego życia rodzinnego i całej poezji pięknej wsi polskiej, w pośród tajemniczej muzyki jej ranków i wieczorów, przeszły pierwsze lata naszego Ludwika; ogrzewała je jeszcze żywa tych czasów miłość ojczyzny. Wspomnieliśmy, że ojciec jego służył pod rozkazami Kościuszki; spadła na kraj po maciejowickiej bitwie nieszczęścia, później włoskie legiony i następujące jedno po drugim wypadki, rozżarzały tylko narodowe uczucia; Ludwik przyszedł na świat, jak wiemy, za Księstwa warszawskiego, które wszystkim w Polsce zdawało się być zapowiedzią wskrzeszenia całej ojczyzny, a pierwsze wrażenia, jakie zapisały się w dziecięcej jego wyobraźni, łączyły się z owym pamiętnym 1812 rokiem, który jakby iskrą elektryczną wstrząsnął wszystkie dusze, tęczę nadziei serca opromienił, a bogactwem i rozmaitością roztoczonych obrazów uderzył wyobraźnię. Małemu chłopcykowi długo roily się jeszcze:

„..... te stada jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek.“

które tam i nazad przeciągały przez cichą zazwyczaj wioskę jego rodzinną. W miarę jak podrastał, do rannych tych wrażeń przybywały nowe. Pierwsza jego nauczycielka, najdroższa ze wszystkich matka, od której się w trzecim już roku życia czytać był nauczył, wcześniej mu *Śpiewy historyczne* do rąk dała; umiał ich wiele na pamięć, przed zgromadzonem sąsiedztwem zwykle powtarzać musiał, tak że się codziennym jego stały pokarmem, a na takiej strawie, w wyobraźni pacholecia, którego ulubionym bohaterem był opiewany przez czcigodnego Ursyna Bolesław Krzywousty, służba ojczyźnie wcześniej rycerskie przybierać zaczęła kształty. Całą zresztą społeczność w tych latach przejmowały polskie uczucia. Pierwszy Ludwika nauczyciel, niejaki Wieluński, mało co umiał z łaciny i matematyki, ale za to żarliwym był patriotą, a szkoły pijarskie, bardzo wzięte w kraju, przedewszystkiem też patriotycznym odznaczały się usposobieniem; dla takiego ich ducha przebaczano im liczne a ciężkie nieraz niedostatki i chętnie tam młodzież oddawało, bo w oczach ówczesnego pokolenia patriotyzm starczył za wszystko. Gdy podrośł trochę, Ludwik też z młodszym od siebie bratem Ignacym do szkół pijarskich odwiezionym został, najprzód do Łowicza, później do Włocławka, w końcu zaś do samego Płocka, gdzie starożytna katedra uderzyła wyobraźnię młodzieńca. Pobyty w szkołach nie przerwał naturalnie ciągłego z domem rodzicielskim związku; przeciwnie, przez samo czasowe oddalenie może się jeszcze do wzmocnienia tych węzłów przyczynił. Matka często odwiedzała synów, była obecną na wszystkich szkolnych popisach, z jej ząk zazwyczaj odbierali przyznane im przez księdza rektora i profesorów nagrody; na stancyi, jak się wyrażano wtenczas, mieli z początku przy sobie znanego już nam Wieluńskiego, a dawna sługa i zarazem, jak to bywało, przyjaciółka rodziny Piernikowska doglądała porządku, karmiła i obszywała studentów; głównejsze w roku święta i tygodnie wakacyj spędzali zawsze w domu. Ludwik odznaczał się między kolegami doskonałą pamięcią i bystrem objęciem, nauki też szły mu z łatwością i zawsze tryumfujący przyjeżdżał do

domu, z promocyą i zdobytemi nagrodami. W częstych ze szkół do Kłobki wycieczkach lechtał dumę narodową wykarmionego *Śpiewami historycznemi* chłopaka, leżący na drodze Gostyń, ze szczątkami dawnego zamku, w którym niegdyś trzymani byli pojmani przez Żółkiewskiego moskiewscy carowie. Jadącym ze szkół i wracającym do nich studentom, zawsze tam przychodziło zatrzymać się na nocleg albo dla popasu, a nigdy się nie obeszło bez zwiedzenia tych ruin i przypomnienia sobie całego ustępu narodowej historyi. — W miarę tego jak podrastał, wszystkie te uczucia nabierały mocy a rozszerzały się pojęcia; w domu też rodzicielskim coraz więcej znajdował swobody i używał jej z radością. Powoli przejażdżki z rodzicami i mniejszem rodzeństwem zastąpiło bardziej swobodne zwiedzanie okolicy z strzelbą na ramieniu, a później milsze jeszcze wycieczki konne, do sąsiedztwa; Ludwik towarzyski zawsze, w nich też szczególne znajdował upodobanie. Z Kłobki rozchodziły się w rozmaite strony drogi do kilkunastu majątności szlacheckich wiodące; było to sąsiedztwo, z którem rodzina w ciągłych zostawała stosunkach; te to drogi w czasie wakacyi na bułanym koniu swoim przebiegał często nasz Ludwik, odwiedzając to przyjaciół rodziny, to szkolnych kolegów; gdy zaś własna okolica już mu dokładnie znajomą się stała, zaczął wybiegać dalej, w tak zwane polne Kujawy, rozciągające się ku Brześciowi i Radziejowu, z ukraińskiej żyzności ziemią swoją, z małemi gdzieniegdzie brzozowemi gaikami, rozsypanemi na szerokich błoniach. Tam szumiały łąny złotej pszenicy, świeciły dwory i wioski, widniały zdala miasteczka. Serce młodzieńca raz przestąpiwszy miedzę domową, prędko już całą ziemię kujawską wspólnem ogarnęło uczuciem; stała się ona odtąd dla niego najmilszą częścią wielkiej ukochanej ojczyzny; do niej zawsze tęskną zwracał się myślą, ją później z rzewną opisywał miłością.

Tak błogo płynących lat prawdziwą koroną stał się rok szkolny z 1826 na 27my, który Orpiszewski najszczęśliwszym ze wszystkich w promiennej swej młodości nazywał. Znalazł się już wtenczas w ostatniej, szóstej klasie, a z całym zastępem rówieśnych kolegów łączyła go przyjaźń serdeczna. Młodzież ówczesna uczucia koleżeńskie podnosiła do ideału; gorące serca paliły się i ozłacały wszystko; wierzone w nieprze-

łamaną moc skojarzonych razem ramion bratnich, a tłem wszystkich, najdroższych marzeń była zawsze niepodległość ojczyzny. Najbliższych tego roku kolegów Ludwika, miały wyznawane wtenczas uczucia zaprowadzić do szeregów wojskowych 1831 roku, na tułactwo, albo, jak np. autora „Kirgiza“, na długą po stepach sybirskich wędrówkę. Ale pamięć tego młodzięczego stosunku przetrwała wszystkie koleje i świętą w duszy pozostała. W roku tym kończący szkoły studenci już w kilkunastu, za pozwoleniem rektora, odbywali wycieczki pieszo do sąsiedniego około Płocka obywatelstwa, a w młodzięczej każdego pamięci zapisała się też głęboko uroczystość obchodzona z powodu znalezienia w katedrze płockiej zwłok Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. O. O. Pijarzy starali się jej jak największą nadać świetność i podnieść przy tem znaczenie szkół publicznych, a każde ziarno takie padało na przygotowaną już rolę.

Orpiszewski, jak to się często z młodzieżą polską i w szkołach francuzkich postrzegać teraz daje, celował jednocześnie w tak zwanych zadaniach literackich i w matematyce; był też ulubieńcem profesora ostatniego tego przedmiotu, a swoją drogą, niejednemu z kolegów w wypracowaniach wierszem pomagał. Już wtenczas pisywać próbował i był jakby poetą swojego koleżeńskiego kółka; naturalnie więc, że nie mógł obcym pozostać sporowi klasyków i romantyków, który w tym czasie i szkoły płockie nawiedził. Na czele klasyków, to jest konserwatystów, stał, jak samo stanowisko nakazywało, rektor O. Morrykoni; obozem romantyków dowodził profesor Zdżarski, którego Gaszyński w swojej Jaxiadzie niemiłosiernie wydrwił. Orpiszewski, który wtenczas Cyda i Horacyuszów Osińskiego umiał na pamięć i często deklamował, stanął zrazu po stronie Morrykoniego, ale prędko, jak sam powiada: „nawrócił się na nową wiarę“. Ballada Witwickiego „Srogi Opiekun“ pierwsza zachwiała jego przekonania, „przeszyła duszę,“ jak mówił; inne nowej szkoły utwory dokonały zwycięstwa, i kiedy niedługo potem od jakiegoś akademika posłyszał, że nie Witwicki i Odyniec, ale Mickiewicz był najznakomitszym romantykiem, i kiedy dostał jego sonety, przed końcem jeszcze roku „kłał się już nietylko na całą romantyczną szkołę, ale i na Mickiewicza.“ Według ówczesnych przepisów, przed złożeniem

ostatecznego egzaminu, trzeba było dwa lata w szóstej klasie przepędzić; został więc w niej nasz Ludwik z bratem Ignacym na rok jeszcze, a nim szkołę całkiem opuścił, wziął go z sobą ojciec do Karlsbadu. Była to pierwsza za granicę wycieczka.

Po zdaniu egzaminu dojrzałości (*maturitatis*), pełen różanych nadziei, udał się nasz Ludwik we wrześniu 1828 roku z nieodstępnym zawsze bratem Ignacym do Warszawy i wszedł do uniwersytetu, zapisawszy się na wydział administracyjny. Sam powiada, że szczególnego do nauk zapału nie miał wtenczas i że myślał, przeszedłszy kursa jako tako, wrócić co prędzej do ukochanej Kłobki i zacząć gospodarzyć, a raczej panować sobie w domu; w marzeniach tego rodzaju przeważną grała rolę przyszła tego królowania współniczka, piękna i dobra żona, którą rozumie się wyobrażał sobie, że czterna albo pięciu końmi obwozić będzie po sąsiedztwie; bo rozmiłowanemu w domowej zagrodzie i jej obyczajowi, przywiązanemu do rodziców i rodzeństwa, nie inaczej się przedstawiało życie w ideale. Na takich marzeniach skończyła się dla Orpiszewskiego pierwsza, jakby przygotowawcza epoka życia, które niebawem inny przybrać miało kierunek.

II.

Uniwersytet warszawski licznie był wtenczas odwiedzany; młodzież obywatelska kiedy nie zaciągała się do wojska, przywdziewała szafirowy akademicki mundur, a ten taką jej w społeczeństwie nadawał wziętość, że była istotnie jednym z organów opinii publicznej. Wielkie znaczenie młodzieży dowodziło bez wątpienia niedojrzałości samego społeczeństwa, braku wśród niego wyrobionych powag i koniecznej moralnej i umysłowej hierarchii, zły też wpływ ostatecznie na losy jego wywarło; ale świadczyło zarazem o dobroduszości tegoż społeczeństwa, o jego stronie uczuciowej i serdecznej, którą łatwo rozgrzać i młodzieńczym zapałem przeniknąć było można. Panującym wtenczas między młodzieżą uczuciem była miłość ojczyzny; „niepodległość Polski, jak wyraża się sam Orpiszewski, była jedyną gwiazdą na horyzoncie tamtego pokolenia;“ i on też

w tę gwiazdę wpatrzył się całą duszą. W chwili gdy przybył do Warszawy, najpopularniejszą postacią był wojewoda Piotr Bieliński, sławny prezes sądu sejmowego; spotkawszy raz z ojcem u wejścia do kościoła tę postać chudą, wyniosłą, w długim granatowym surducie i wysokiej czapce rogatej z barankiem, pełną prostoty i powagi w ruchach, Orpiszewski uderzony był niewypowiedzianie i odtąd ją między swoje świętości policzył. Mało z początku między młodzieżą znany, przez dawnych szkolnych kolegów swoich wprowadzony został najprzód do kółka plockiego, które składali między innymi: Gustaw Zieliński, Dąbski, Kowalewski, Woznicki, Turowscy; inne podobne kółko z Michała Szwajcera, Szymońskiego, Leona Łubieńskiego złożone, zbratało go zaraz z tak zwanymi Kaliszanami; wtenczas też poznał się z uczęszczającym także na uniwersytet Zygmuntem Krasińskim i z Gaszyńskim Konstantym, tak że prędko uczuł się w swoim zupełnie żywiole. Bliżsi przyjacielele zbierali się często na nieskończone zawsze rozprawy patryotyczne, w których i literatura w tym czasie nie małą grała rolę; bywały nawet wypracowania na piśmie. Romantycy coraz więcej wśród akademików zyskiwali stronników; nareszcie wszystkich prawie młodych przeciągnął sam „Konrad Wallenrod.“ Przeczytawszy go po raz pierwszy głośno, Orpiszewski noc całą oka nie zmrużył, znajdując się w ciągłym podniesieniu ducha. „Żadne dzieło, pisał w przedśmiertnych wspomnieniach swoich, nie wzbudziło nigdy takiego zapału. Duch poetyczny i duch patryotyczny podniósł się do trzeciej potęgi! „Konrad“ Dziadów i „Pan Tadeusz“ powoli obudzali uwielbienie; nie od razu zrozumiano, że największy mistrz stanął u swego zenitu; ale Wallenrod padł jak iskra na proch przygotowany w sercach młodzieży.“ Było to w początkach 1829 roku. Na tak rozgrzaną duszę trafiła wiadomość o zgonie wojewody Bielińskiego i natchnęła młodzieńcowi odę czyli elegię, która nie tylko między kolegami zjednała mu wziętość, ale nawet za obrębem stolicy, po dworach szlacheckich w rękopiśmie krążyła. Autor elegii miał czynny naturalnie udział w uroczystem przeprowadzeniu zwłok zmarłego i w zniesieniu ich na-
zajutrz przez młodzież do sklepów Śto Krzyżkiego kościoła, z kądem, jakby relikwią na pamiątkę tej patryotycznej manifestacji, wyniósł kawałek czarnego aksamitu okrywającego trumnę.

Był to, na nieszczęście, czas tajnych związków, które wśród rozmaitych kolei i przeobrażeń swoich obejmowały całą niemal Polskę, a gotowały wypadki 1830 roku. W kilka miesięcy po przybyciu naszego Ludwika do Warszawy (15 grud. 1828) zawiązywał się spisek podchorążych; od tego zaś dnia do połowy 1830 roku robota w tym kierunku nie ustawała. „Drożdże pozostałe na dnie dziejów świetnej Polski, jak mówi sam Orpiszewski, chwast kolący krzywd i upokorzeń późniejszych, i błyski rzucane geniuszem nowych wieszczów, rozczyniały robotę . . ., która wciąż rosła!“ Obok ogniska wojskowego utworzyło się drugie cywilne, do którego przedewszystkiem należeli literaci ówczesni, a za nimi uniwersytecka młodzież. Dziewiętnastoletni autor patryotycznej elegii, zostawiony sam sobie, nic dziwnego, że się znalazł w tem gronie i musiał dzielić wszystkie jego uczucia i uniesienia. Wiadomość o rewolucyi lipcowej w Paryżu podniosła jeszcze zapał i złudzenia rozjeżdżającej się na wakacye młodzieży, i kiedy znowu do uniwersytetu wróciła, w kółkach jej mówiono już prawie wyłącznie o nieodzownem a niedalekiem powstaniu. Niektórzy pistolety nawet przysposabiać zaczęli. Świeżo do związku przez Szwajcera wprowadzony Orpiszewski, zamożniejszy w tej chwili od niego i bliższych kolegów, kilku z nich ze studenckiego woreczka swojego funduszu na to dostarczył, i byłby się zapewne dostał niebawem do kozy, jak jego towarzysze, właśnie z powodu kupowania tych pistoletów, ale nagła śmierć ojca powołała go do Kłobki, a wyjazd z miasta na parę tygodni zmylił policją i młody konspirator ocalał. Z początkiem listopada wrócił do Warszawy, pewien, że chwila stanowcza była niedaleką; razem z ogromną większością młodzieży, i jak to zwykle bywa w konspiracyach, wierzył, że najwyższe wtenczas u niej powagi, jak Niemcewicz, marszałek sejmu Ostrowski i Chłopicki stoją na czele związku i wszystkiem kierują; we własnem sercu nosił gotowość poświęcenia się i o resztę nie pytał; miesiąc ten cały przeżył wprawdzie w gorączkowem oczekiwaniu to powstania to celi więziennej, ale do ostatniej chwili pozostał prawdziwym jak sam powiada „nowicyuszem w pierwszym i ostatnim spisku swojego życia.“ Dnia 29 listopada zaledwo o trzeciej dowiedział się, że za godzin kilka wybuch nastąpi i że on ma być jednym z tych, którzy pierwsze dadzą hasło

w tak straszne skutki obfite. Kilku zebranych w mieszkaniu Zenona Niemojowskiego kolegom, między którymi był Orpiszewski, Ludwik Nabelak przyniósł ostatnie na ten wieczór instrukcye.

Znane są powszechnie tej nocy pamiętnej wypadki, niedawno jeszcze przez ich uczestników szczegółowo opowiedziane.¹⁾ Przeznaczony do uderzenia na Belweder Orpiszewski, stanął z innymi o umówionej godzinie przy posągu Jana III; wiadomo, że zbieg nieprzewidzianych okoliczności zmusił zgromadzonych rozpierzechnąć się i ukryć w łazienkowskim lasku, a tam na opóźnione hasło i broń zaczekać; każdy z obecnych wśród męczacej niepewności, odosobnienia, niebezpieczeństwa ciągłego, doświadczonym był wtenczas na duchu; wszyscy, według wyrażenia Rettla, ręką Bożą przesiani byli jak w przetaku, i w czasie tych długich dwóch godzin wieczornych gromadka z 40tu stopniała na 16tu, ale Orpiszewski próbę tę wytrzymał, i kiedy nareszcie przyniesiono karabiny, znalazł się między zdecydowanymi. Z bronią obchodzić się umiał; gdy szczupły zastęp rozdzielił się na dwa oddziały, różnemi drogami zdążające do Belwederu, należał z Goszczyńskim i Nabelakiem do tego, który przez główną bramę wpadł do mieszkania w. ks. Konstantego i przebiegłszy wszystkie jego pokoje, popłoch tam rozniósł. Przy cofaniu się z pałacu nasz Ludwik, jeden z pomiędzy wszystkich, w starciu się ze służbą w. ks. raniony rydlem w twarz i ramię, zostawionym być musiał w botanicznym ogrodzie, gdzie go przechowano aż do ostatecznego ustąpienia wojsk rosyjskich z alei. Na tem się udział jego w wypadkach tej nocy ograniczył; niemniej dla tego nazywano go *Belwederczykiem*. Nigdy ztąd później chluby dla siebie nie szukał; rzadko nawet i niechętnie o wyprawie na Belweder wspominał. Przed dojrzałą myślą jego stawały niezawodnie pytania, ażali on, dwudziestoletni zaledwo student, miał prawo popychać niejako kraj cały do takiej wagi wypadków i odpowiedzialność za ich następstwa choć w części brać na siebie? a sumienie

¹⁾ Goszczyński Seweryn: *Noc Belwederska*. — Rettel Leonard: *Wstęp do Pamiętników Piotra Wysockiego o powstaniu 29 listopada 1830 roku*. — W Bibliotece ludowej polskiej. Paryż, tomik 58 i 59 oraz 37 i 38.

zapewnie mu na te pytania odpowiadało przecząco —, wyższy ideał obywatelskiej i chrześcijańskiej służby ojczyźnie stawiać mu przed oczy.

Razem z chwilowym tryumfem powstania nastały dla całej młodzieży, a z nią i dla Orpiszewskiego, nieprzepomniane nigdy chwile upojenia i szczęścia, „ten, jak sam powiada, epizod w życiu niewoli, gdzie człowiek zobaczył się przecie na chwilę sam u siebie w domu, uczuł się raz panem na swojej ziemi, oswobodzonej od obcego jarzma.“ Od upadku ojczyzny smutnym pokoleniom polskim rzadko takie chwile dostawały się w udziale, ale kto ich zaznał, ten nie zapomniał do śmierci; Adam Mickiewicz dla tego z uczuciem wspominał zawsze rok 1812 „jedyną wiosnę taką w życiu;“ myśmy już podobnych nie mieli. Raz wprawdzie, w niektórych powiatach Litwy, w pierwszych dniach ostatniego powstania, nim władze miejscowe opamiętały się i wojska rosyjskie nadeszły, kiedy w cichych wiejskich zakątkach zdawało się, że władza narodowa rzeczywiście istnieje, coś podobnego na chwilę opróżniło serca, a ci, co tego doznali, dla tej chwili przelotnej zapomnieli wielu klęsk strasznych i mąk prawdziwych; ale co w r. 1863 było jakby błyskawicą, która grzmot straszny przyniosła, to w 1830, po ustąpieniu za Bug pułków rosyjskich, przy własnem wojsku narodowem, zdawało się być, w oczach młodzieży, stałą już, niezawodną rzeczywistością. Na niebie tej młodzieży nie było chmur żadnych; dyktator świecił na niem jak słońce, wiara w przyszłość raz była nieograniczoną jak zapal młodzieńczy, tak czystą, serdeczną, od wszelkich doktryn socyalnych i politycznych wolną, jak proste serca tej młodzieży w pocziwowych domach szlacheckich, pieśniami legionistów i śpiewami historycznemi Niemcewicza wykołysanej. Dla tego też do ostatnich dni swoich Orpiszewski zwracając się myślą do tych dwóch miesięcy dzielących wybuch od pierwszych kroków wojennych z rozrzewnieniem za wieszczem powtarzał: „o roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!“ dodając że i w jego życiu rok to był jedyny. Akademicy tworzyli wtenczas gwardyą honorową przy osobie dyktatora; nasz Ludwik, jako „Belwederczyk“, wolnemi głosami kolegów wybrany na kapitana, dowodził piątą kompanią; stary pułkownik Łagowski, kościuszkowski niegdyś żołnierz, stał na czele tej gwardyi i kochał młodzież,

a do rygoru wojskowego nie bardzo naginać ją myślił. Gotowość do posłuszeństwa była jednak ogólna, materyał był najlepszy; okrzyczana nawet później Honoratka, zupełnie wtenczas, według słów Orpiszewskiego, niewinną była. Jako akademik, wpisany do Towarzystwa Patryotycznego, bywał on tam niekiedy; młodego studenta bawił i zajmował używany przez młodzież tytuł „Obywatela“, ale we wspomnieniach swoich świadczy, iż cała atmosfera moralna i polityczna tych zgromadzeń nie przypominała bynajmniej późniejszych klubów za granicą; najgłośniejsi, niby demagodzy przyklaskiwali śpiewanej piosence: „Będzie nam panował nasz potężny król;“ i było tam bardzo gwaro to prawda, ale w gruncie prostodusznie, i wszystko z tych żywiołów możnaby było zrobić, gdyby ponad nimi były insze, hartowniejsze żywioły zdolne trwały rząd utworzyć.

Niebawem zagrzmiać miały działa; gwardyą honorową dyktatora rozwiązano; młodzież akademicka poszła do różnych pułków dowodzić w boju szczeroci patryotycznych swych uczuć. Orpiszewski d. 3 lutego przeniesiony do 2go pułku Mazurów, którego dowódcą był Michał Walewski, a adjutantem pułkowym Łączyński Adolf, znalazł tam wielu obywateli z Kujaw i kilku blizkich z uniwersytetu kolegów. W tym pułku kampanią odbył, kochany przez towarzyszy i starszych. Znajdował się d. 25 lutego w walnej bitwie pod Grochowem; w czasie wyprawy Skrzyneckiego pod Wawer i Dęby Wielkie był na forpocztach przed okopami Pragi i we wracającym zwycięzcy z uniesieniem przyszłego Czarnieckiego witał; kiedy połowa jego pułku biła się pod Iganiami, on z drugą połową był w ogniu pod miastem Liwem, gdzie generał Andrychiewicz z pułkiem Podczaskiego przedmostowego szanca bronił; znajdował się później z Rybińskim w Siedlcach, gdzie często na patrole był wysyłany; miał udział w utarczce pod Raciążem; z generałem Łubieńskim, otoczonym nad Nurem, przerznął się szczęśliwie i poszedł pod Ostrołękę, na drugą, walną w życiu swoim bitwę; nareszcie wysłany został w Płockie, pod dowództwem pułkownika Szulca, który rekonesans prowadził aż do Osieka, naprzeciw mostu zbudowanego przez Moskali na Wiśle. Tam doszła go wiadomość o wzięciu Warszawy. Nastąpiło konanie powstania; po niedawnych miesiącach upojenia

i szczęścia najboleśniejsze chwile cierpień, niemocy, upokorzenia, niemal rozpacz, — przeciągłe echo belwederskiego haśła! Skończyła się dla Orpiszewskiego świetna, ale krótka jego epopea; d. 5 października, z korpusem jenerała Rybińskiego, wszedł do Prus, a z przestąpieniem granicy miało się rozpocząć, dla niedawnego „Belwederczyka,” czterdziestoletnie tułactwo.

III.

Upadkiem najdroższych nadziei i straszmem w duszy rozdarcem, które już do śmierci zabliźnić się nie miało, zamknęła się młodość Orpiszewskiego, i w pośród zupełnie nowych, a całkiem anormalnych stosunków, jednym tylko pokoleniom polskim znanych, miał on prążyć dalszą nić żywota i dojrzywać właściwie na męża i chrześcijanina. Trudności, pokusy i niebezpieczeństw na drodze było pełno. Wszystkich co broń niedawno złożyli, łudziła nadzieja, że walka tylko na chwilę zawieszoną została, że w krótkce z nowemi siłami, jeżeli nie całego zachodu, to przynajmniej Francyi, rozpoczną ją na nowo; z uniesieniem przyjmowane w całych Niemczech zastępy, śpieszyły nad Sekwanę, gdzie trafić miały na grunt świeżą rewolucją wstrząśnięty, i gdzie najróżnorodniejsze czekały na nie wrażenia, teorye i wpływy. Nie jeden ze szlachetnych im uległ, a wiedząc czem było życie zamkniętych w tak zwanych zakładach wychodźców naszych, nazałutrz prawie po walce na zupełną bezczynność skazanych, tęsknotą trawionych, a najdziwniejszemi często w otoczeniu swoim karmionych ideami, nie śmiemy twierdzić, że młody, bo zaledwie 21 lat liczący Orpiszewski łatwoby się wszystkim tym wpływom oprzeć potrafił. Ale Opatrzność wyraźnie nad nim czuwała. Zaledwo przedawszy z żalem w Bydgoszczy ostatniego wierchowca, dostał się z innymi do Wrocławia, już przyjechała tam dla błogotawienia mu na dalszą drogę, najlepsza młodości opiekunka, ukochana matka, a ostatnie widzenie się z nią miało stanowczy wpływ wyrzucić na dalszy jego życia kierunek. Nie mówiąc już o tem, że zaopatrując go wtenczas w szczupły wprowadzie, na jaki w ciężkich chwilach ówczesnych zdobyć się mogła

fundusz, uwolniła go na razie od pracy na chleb powszedni i zapewniając skromną niezależność, pozwoliła wyłącznie się zająć ukształceniem własnem, jeszcze w prawdziwym jasnowidzeniu macierzyńskiego uczucia, odgadując niejako niebezpieczeństwa, przy pożegnaniu udzieliła mu dwóch przestróg: „aby opóźniał o ile można wyjazd swój z Niemiec do Francyi i szanował najznakomitszego obywatela w Polsce i Europie, ks. Adama Czartoryskiego.“ Utkwiły one głęboko w sercu syna, a rychła śmierć matki, jeszcze im nową dodała mocy; to też kiedy niebawem z Drezna, dokąd się był udał, z innymi na zachód wyjeżdżać musiał, nie przekroczył w podróży swej Renu, i zatrzymał się w Karlsruhe, gdzie spędził pierwszych lat półtora, najburzliwszych wśród naszego wychodźstwa we Francyi. Politykowało ono wtenczas na zabój w rozmaitych klubach i komitetach w Paryżu i po zakładach, oślepione przyjęciem jakiego doznało niedawno w pochodzie swoim z nad Wisły i przez opozycją ujętą, przerabiało się w części na zastęp rewolucyjny, układało niedorzeczne i najzgubniejsze dla sprawy narodowej wyprawy, wysyłało emisaryuszów, wrzało prawdziwie wewnątrz. Unikał tego Orpiszewski, a w późnym wieku, rozpamiętując życie własne, chętnie powtarzał, że posłuszeństwu swojemu dla przestróg matki najwięcej zawdzięczał, bo gdyby nie to zatrzymanie się w Badeńskim „niewątpliwie innym zupełnie torem poszłyby jego przekonania polityczne, a może religijne i moralne.“

Pobył jednakże w Karlsruhe nie mógł się bardzo długo przeciągać; zbliżała się i dla stron tamtych chwila rewolucyjnego wybuchu, a Orpiszewski uwiadomiony o tem przez spieszących do Frankfurtu nad Menem rodaków, postanowił się uchylić i udał się nareszcie do Francyi. Stanął nad granicą w chwili, gdy rząd francuzki wiazaniem się emigracyi z rewolucją, i hardem jej nieraz postępowaniem rozdrażniony, jął się kroków surowych; wielu wychodźców ze stolicy wydalil, a nowych tam nie przyjmował przybyszów. Musiał nasz Ludwik wybrać dla siebie miejsce pobytu o 40 mil francuzkich od Paryża, a o 20 przynajmniej od granicy odległe, a takim sposobem, dwa lata prawie ubiegły mu jeszcze zdala od głównego ogniska, w Châlons nad Marną. Tam dochodziły go wieści o końcu owych rewolucyjnych wypraw, o losie jaki

spotkał w nieszczęśliwym kraju posyłanych doń emisaryuszów, o śmierci Artura Zawiszy, niedawno kolegi w uniwersytecie, który jak tylu innych w tym czasie, na szubienicy ducha oddał; tam się nareszcie dowiedział o uwięzieniu rodzonego brata swego Ignacego, z którym aż do nocy listopadowej nie rozstawał się nigdy. Wmieszany w sprawę Zawiszy, za stosunki z emissaryuszem osądzonym on został na Sybir, i poszedł w tę mało znaną jeszcze wtenczas, a w wyobraźni narodu całą grozą otoczoną drogę, którą tysiące przedeptać potem miały, a z której po ośmnastu zaledwo latach powrócił. — Zbołały w duszy nasz Ludwik, w niewielkiej mieścinie znalazł serdeczne przyjęcie w patryarchalnym prawdziwie domu pp. d' Avrinville, którzy polubiwszy młodego wygnańca prawie go rodzinną otaczali troskliwością; za ich pośrednictwem miał zręczność zetknąć się z tem, co w społeczeństwie francuzkiem jest najpoważniejszego i najstalej przyjaznego Polsce, a co część katolicką narodu stanowi; w tej atmosferze niezamąconej wpływem rewolucyjnym, dojrzewały jego pojęcia, poważniał pogląd na sprawy ludzkie, rozwijało się to, co z tradycyi narodowej w duszy swojej nosił, i kiedy nareszcie za staraniem zięcia szanownych opiekunów swoich, a para wtenczas Francyi, p. Tascher, dostał się do Paryża (3 stycznia 1835 r.) jakkolwiek młody, był już od wielu rowienników swoich dojrzalszym. Kiedy go niedawny w pałacu belwederskim towarzysz i przyjaciel Świętosławski ze zdziwieniem zapytał, jak się stać mogło, aby jeszcze do towarzystwa demokratycznego nie należał? z uśmiechem świadomego pobudek człowieka odpowiedział mu, że i należeć nie będzie; a nie było w tem cienia goryczy, bo i ze wspomnianym Świętosławskim i z wielu innymi, podobnych wyobrażeń towarzyszami dawnymi w najlepszych pozostał stosunkach, znał gorącą ich miłość ojczyzny, i złote nieraz serca, ale inaczej a głębiej od nich na rzeczy patrzył, i nie od rewolucyjnych teoryj a jeszcze mniej, po świeżym a tak bolesnym przykładzie, od wstrząśnień i spisków podźwignienia ojczyzny oczekiwał.

Do dalszego rozwinięcia wewnętrznego przyczyniło się zresztą najbardziej, to koło polskie w jakie wszedł od razu. Obiegłszy dawnych z uniwersytetu i z pułku mazurów kolegów i przyjaciół, Orpiszewski szukał przedewszystkiem Mickiewicza,



dla którego na szkolnych jeszcze ławkach takie czuł uwielbienie; już go był poznał w Dreźnie i chciwie wtenczas przysłuchiwał się jego rozmowom, a nieraz jedno słowo wieszczą, dla tego że wymówione przez niego, zapadając głęboko w młodą duszę, ślad w niej zostawiało na zawsze. Tak n. p. wspomniał później, że kiedy raz, w temże Dreźnie, zapuścił się w pochwałę protestantyzmu, a w milczeniu obecnego Adama upatrując potwierdzenie, rad z siebie z coraz większą wyrokował stanowczością, Mickiewicz powiedział tylko: „Protestantyzm! dawno protestuje, a cóż zbudował?“ a to jedno słowo jego nie tylko obaliło w umyśle naszego Ludwika cały szereg rozumowań, ale jeszcze stało mu się bronią w wewnętrznych później zapasach. „Od tej chwili, pisał sam, jeżeli była kiedy walka ze zwątpieniem, to nigdy już protestantyzm nie wyzwiał mnie do boju; z tej strony nieprzyjaciół nie atakował mnie więcej.“ Taką cześć dla poety przynosił on i teraz w sercu swoim. Mickiewicz znajdował się właśnie u zenitu swej poetycznej twórczości, w epoce wielkiego uspokojenia wewnętrznego i religijnego zarazem rozgrzania; przed kilku zaledwie miesiącami ukazał się był *Pan Tadeusz*. Przystępny dla wszystkich, wielki człowiek nie odtrącał nikogo i nowego z Châlons przybysza chętnie u siebie widywał; stał się też łatwo, nie wiedząc, czy może i wiedząc, jak mówi sam Orpiszewski, najlepszym jego nauczycielem.“ I znowu czasem jedno jego słowo, jak przed kilku latami w Dreźnie, wpływało na postanowienia słuchacza. „Książę Adam, powiedział raz Mickiewicz, zrobiłby figla emigracyi, gdyby umarł; ileż to dzienników nie miałoby o czem pisać.“ Przypomniało to Orpiszewskiemu słowa matki i przyczyniło się do tego, że nie dał się pociągnąć na chwilę nawet do żadnej manifestacyi przeciw mężowi, którego wtenczas nie znał jeszcze, a którego później szanować miał tak głęboko.

Powtórne zetknięcie się z Mickiewiczem poprowadziło naturalnie do zapoznania się z całym najbliższem mu gronem, wśród którego wtenczas rozpoczynał się na emigracyi zwrot do uczuć i praktyki religijnej, zaniedbanej pod wpływem rewolucyi francuzkiej i cesarstwa. Świętobliwy Bohdan Jański, pierwszy, jak pięknie o nim powiedziano, jawny pokutnik i apostoł na emigracyi, ciągle połowem dusz zajęty, chcąc i Or-

piszewskiego pozyskać dla tego zastępu, jaki w pośród rodaków dla Kościoła starał się zbudować, nieraz całe noce na rozmowie z nim spędzał. Widywał też Orpiszewski i innych członków i przyjaciół tak zwanego domku Jańskiego; zbliżył się bardzo z Kaysiewiczem, który wtenczas już szczerze o kapłaństwie myślił, odwiedzał często Antoniego Góreckiego i Witwickiego. W ich towarzystwie upływały mu dni i miesiące, przeplatane ucześnieowaniem na rozmaite kursa, czytaniem, a później nawet próbkami własnego pióra, bo była to epoka wielkiego ruchu pismennego na emigracyi. Nic tak nie kształci jak obcowanie z wyższymi ludźmi; a miał Orpiszewski zgromadzonych w Paryżu prawie wszystkich, którymi się Polska wtenczas najbardziej chlubić mogła. To też w pierwszych latach pobytu tam wyrobiły się ostatecznie jego przekonania moralne, religijne i polityczne nawet. — Zamieszkały zrazu u pp. Tascher, którzy mu serdeczną przyjaźń zachowali do grobu, u nich poznał się z Montalembertem, z pp. de Kergolay, de Bouille i innymi poważnymi Francuzami, a w polskich gronach coraz miłszym stawał się gościem w domu pp. Hoffmanów i kasztelana Ludwika Platera; nareszcie poznał i wracającego z Anglii po ciężkiej chorobie pułkownika wtenczas, Władysława Zamoyskiego i księcia Adama Czartoryskiego. Rycerska pierwszego z nich dusza pociągnęła od razu niedawnego oficera od mazurów, którego ideałem w dzieciństwie był Bolesław krzywousty; nie mógł zaś oprzeć się urokowi, jaki wywierał na wszystkich, którzy się do niego zbliżyli, książę Adam, i dał mu się od razu zupełnie pozyskać.

Nie daleką i dla niego samego była chwila wystąpienia publicznie. Dotychczas, jak widzieliśmy, unikał on starannie polityki, nie czując się dostatecznie przygotowanym do wzięcia w niej udziału, i nie mając ufności w projektach i przedsięwzięciach jakie roiły się wśród młodszej i ruchliwszej części emigracyi; nie mniej jednak od innych nosił w duszy to przekonanie, nadające całemu wychodźtzu szlachetny charakter, że życie jego raz ślubowane ojczyźnie, do niej też przede wszystkim należy, i że nie dla własnego bezpieczeństwa uniósł je był za granicę, ale jedynie dla służenia tejże ojczyźnie. Zamoyski, do którego przywiązywał się coraz bardziej, powtarzał często: „że Polak emigrant nie biorący udziału w politycznem

zadaniu polskiego wychodztwa, był dezterterem z pola, na którym się toczy walka o wszystko co jest najświętsze.“ On takim dezterterem nigdy być nie chciał. Z tradycy domowych, z upodobañ własnych, i samego nawet kroju umysłu, rewolucyonistą nie był; głęboko zaś wyrobione teraz przekonania postawiły go stanowczo po stronie wręcz przeciwnej; znalazł się między tymi, którzy pragnęli dla Polski dalszego rozwinięcia konstytucyi 3 maja, i pojbowali ją w przyszłości, jako społeczeństwo rządną, katolicką i monarchiczną. W tym kierunku tylko mógł działać. Wyznająca te przekonania część emigracy naszej myślała, że do wychodztwa przedewszystkiem należy „sprawowanie zewnętrznych interesów Polski“ i tem się też zajmowała gorliwie. Utworzone pod prezydencją ks. Adama Czartoryskiego „Towarzystwo literackie“ za jedno z zadań swoich uważało przygotowanie memoryałów o Polsce dla Izb francuzkich, i w ogólności tego rodzaju służbę Polsce. Orpiszewski 1837 r. na posiedzenia Towarzystwa tego uczęszczać i do prac jego należeć zaczął. W miarę rozwijania się Towarzystwa demokratycznego i rewolucyjnej ze tak powiemy, organizacy na wychodztwie, skupiało się bardziej i stronictwo zachowawcze; wyszła książeczka Janusza Woronicza: *o monarchii i dynastyi w Polsce*, której myśl pierwszą Mochnackiemu przypisują, a którą Zamoycki podniósł; zaraz potem powstało pod prezydencją kasztelana hr. Narcyza Olizara, Towarzystwo 3 maja, które w samem nazwaniu swoim wskazując punkt wyjścia, za cel dla siebie wytknęło szerzenie idei monarchicznych w kraju i doprowadzenie go tym sposobem do skutecznego w danej chwili dźwignienia się. Stowarzyszenie postanowiło wydawać dziennik, który miał stać się organem tych właśnie przekonań. Orpiszewski był jednym z dwunastu założycieli stowarzyszenia; że zaś już miał łatwość pisanja, w ostatnim roku coraz częściej u księcia Adama bywać zaczął i mile tam był widziany, więc mu też główną redakcyą tego dziennika powierzono. Nie miał zrazu udzielać dziennikowi swojego imienia, bo zawsze czuł wstręt do wszelkiej, zwłaszcza głośnej polemiki; zobowiązał się tylko dostarczać artykułów, a Omieciński miał się jako redaktor podpisywać; ale kiedy napisawszy cały pierwszy numer, z twarzy przynoszącego mu korektę Omiecińskiego wyczytał, że ten przyjmując na siebie ojcowstwo tych artykułów

twardego dopełnia poświęcenia, nie mógł wytrzymać i przekreśliwszy jego nazwisko, swoje na tem miejscu napisał. Od tej chwili (d. 10 grudnia 1839) stał się już człowiekiem publicznym, a jako taki, stracił swoją dotychczasową, jak sam powiada swobodę.

Pierwszy numer *Trzeciego Maja* (takie było imię dziennika) obszernie tłumacząc zasadniczą myśl swoją, że Polska będąca w przeszłości monarchią, musi też nią pozostać dla odzyskania swej niepodległości, wskazywał narodowi, że historia ostatnich czasów wyrobiła w jego łonie dynastją narodową w rodzinie książąt Czartoryskich, stojącej od trzech pokoleń na czele opinii monarchicznej w Polsce, i jako zadanie swoje ogłaszał: bronienie monarchicznej formy rządu w duchu demokratycznej dążności narodu, głoszenie potrzeby osadzenia na tronie rodziny ks. ks. Czartoryskich, zajęcie się interesem zwątlonego Kościoła powszechnego w Polsce, i upośledzonej dotąd klasy rolniczej, czyli ludu; wszystko to zaś w celu skutecznego w przyszłości powstania, bo *Insurrekcyą* nazywał wielkiem słowem swoim. Po takim wstępie, umieszczone nad wspomnianą już książką Woronicza uwagi, kończyły się twierdzeniem: „że ponieważ Polska może powstać tylko przez wojnę narodową, w powstaniu zaś musi być król widomy, a tym królem Polak, więc ks. Adam, jako naczelnik rodziny przewodniczącej interesom polskim od lat tylu, jako figura najznakomitsza w kraju i za granicą, jako reprezentant interesów narodowych i osobisty antagonistą Mikołaja, jest naturą rzeczy i zbiegiem okoliczności naznaczony na tego króla — jest *de facto*: królem polskim.“ To wyrażenie: król *de facto*, zamykające pierwszy numer dziennika, przez jednych z oklaskami, przez drugich z oburzeniem powtarzane wtenczas, stało się dla najgorętszych księcia Adama stronników sztandarem, a prawdziwym kamieniem obrażenia dla strony przeciwniej; mówiono o królu bez królestwa, o elekcyi bez upoważnienia do niej, i t. p. Autor artykułu do końca życia utrzymywał, że to wyrażenie bezwiednie prawie znalazło się wtenczas pod jego piórem, i że przez niego i jego kolegów nie inaczej rozumianem było, tylko jako logiczne następstwo rozwijanej teoryi, której przystosowanie do życia i urzeczywistnienie zależnem było od przyjęcia się jej w narodzie. Nie tutaj miejsce roztrząsać o ile

właściwem, a nadewszystko praktycznem było takie w owej chwili postawienie kwestyi; wiele o tem mówiono i wiele jeszcze powiedziećby się dało. Że sam książę Adam Czartoryski długo się przeciw wystąpieniu z ideą dynastyi bronił, i tylko niechętnie uległ, gdy najbliżsi doradcy i przyjaciele zbawienie w tem dla ojczyzny upatrywali, jest rzeczą niezawodną, stwierdzoną i publicznemi jego oświadczeniami i listami prywatnemi. „Radbym kraj wyzwolić, pisał raz do Orpiszewskiego, a od dynastyi siebie oswobodzić, bo to uważam za wielki kamień na mojej szyi, który zabija na zawsze szczęście i spokojność i zdejmuję blask bezinteresowności, tak miłej oczom. Jest to więc wielka zasługa nie zrzucić go z karku dla dobra sprawy.“ Dobry mąż całe życie z najwyższą ofiarnością służący ojczyźnie, jeszcze aktu najtrudniejszego może poświęcenia dopełniał w chwili, kiedy anarchiczne u nas żywioły o osobiste posądzały go widoki. Nie miał ich on, nie mieli i założyciele dziennika równie jak jego redaktor; a chociaż wypadki same przekonały później o nietrafności podniesionej przez nich myśli, co po kilku latach sprowadziło głośne rozwiązanie się stowarzyszenia i chętnie poddanie się ks. Adama i wszystkich pierwszej narodowej władzy, jaka się na polskiej ziemi ukazała, zawsze z wdzięcznością pamiętać im należy, że tak wytrwale stali przy swojej chorągwi i że mieli najtrudniejszą w ówczesnej społeczności naszej odwagę, narażenia się na niepopularność dla tego, co uznawali być prawdą i dobrem ojczyzny. Zawiodły ich wszystkie nadzieje, bo cóż w całej tej epoce zawieść nie miało? zamiast wzmocnienia nawet stanowiska ks. Adama w narodzie, głoszona myśl dynastyczna może prędzej to stanowisko zachwiała, nie mniej dla tego sam ich przykład i powolne a wytrwałe działanie przyczyniło się niezawodnie do zaszczerpienia u nas idei porządku i zaprowadzenia karności moralnej, która bądź co bądź coraz wyraźniejszą w kraju się stawała, a po latach w „Towarzystwie Rolniczem“ budowała wszystkich. Orpiszewski przez cały rok 1840 był wyłącznym redaktorem *Trzeciego Maja*, za co mu na posiedzeniu dorocznem Stowarzyszenia dziękowano; oprócz artykułów politycznych, rozwijających zawsze też same idee, konieczności władzy, karności, porządku, niemożebność rzeczypospolitej w Polsce i Europie i t. p. umieszczał tam jeszcze

w odcinku opowiadania swoje, które później osobno wydał p. t. *Wędrowek po Wielkopolsce i Mazowszu*, zawierały one obrazki ukochanych jego Kujaw; pełne wdzięku i trafnie narysowanych postaci, a nieraz krwią serca pisane, bo wplótł w nie wyprawy emisaryuszów i historią Artura Zawiszy, którą tak srodze przeboleał. W ostatnich dniach stycznia 1841 r. wydawnictwo dziennika objął Janusz Woronicz; Orpiszewski dostarczając czasem artykułów, mniej już się piśmem zajmował. Zamoyski oddany zawsze „sprawowaniu zewnętrznych interesów Polski“ wdrażał go powoli do tej służby; chciał w nim mieć jakby przedstawiciela młodszego pokolenia przy księciu Adamie, tak się przynajmniej wyrażał. Orpiszewski, który nigdy wysokiem o sobie mniemaniem nie grzeszył, naczelnego stanowiska dla siebie nie żądał, a czując potrzebę hierarchii i stopniowania w społeczeństwie, nie przeceniał wcale sił swoich i wpływu jaki mógł wywierać, pisał w tych czasach do Zamoyskiego: „Mój Pułkowniku! Nie zabraknie nigdy w Polsce na młodzieży gotowej dobyć szabli na pierwsze wezwanie, ale najtrudniej było w niej i jest zawsze o ludzi, którzyby imię swoje, majątek i wyższe stanowisko społeczne w tym celu zużytkować chcieli, aby stanąwszy na czele swoich prowincyj, kierowali w nich opinią, przygotowywali ją, a w stanowczej chwili dali z siebie przykład posłuszeństwa temu, komu się ono z prawa należy; którzyby raz zrozumieli, że nie wystarcza być osobiście odważnym i dobrze wychowanym, zdolnym w danym razie zostać pięknym adjutantem, ale że przy ogólnem rozprzężeniu w kraju, trzeba jeszcze umieć przywłaszczyć sobie niejako znaczenie dawnego senatora, potrafić nadać ton prowincyi i wywołać w niej utworzenie się silnego organizmu społecznego, na którymby się nowy rząd mógł oprzeć — moralnie przed wojną — skutecznie podczas walki. Sam Pułkowniku jesteś przedstawicielem tej warstwy społecznej u nas, staraj się ją wyćwiczyć, do takiej pracy nakłonić i wdrożyć, bo w tem leży zagadka naszej przyszłości. Gdybym był którym z twoich krewnych miałbyś już jednego chętnego słuchacza i ucznia.“ — Tak to w tem kole, nie tworząc spisków i tajnych towarzystw, rozumiano wtenczas budowanie żywego społeczeństwa, a przytoczyliśmy te słowa, bo dziś jeszcze, kiedy tak wiele o organicznych pracach mówią, przydaćby się mogły niejednemu ze szlachetnych a wyż-

szem stanowiskiem społecznem od losu udarowanych między nami ludzi.

Dziennik był tylko jednym ze środków propagandy; przy trudnościach jakie stawiały wówczas granice, wpływ jego musiał być ograniczony, i starano się temu zapobiegać za pomocą żywego słowa. W miejscach, gdzie się więcej z kraju osób zbierało, bywał zazwyczaj ktokolwiek z bliższego otoczenia ks. Adama, albo z ludzi jemu przyjaznych, którzy dla monarchicznych idei starał się jednać stronników, a kraj o pracach i nadziejach tej części wychodźstwa pouczał. Orpiszewski, który już jedne całe wakacye w domu ks. Adama spędził i przy bliższem poznaniu szacunek jego i zaufanie pozyskał, uproszonym został, aby młodemu jego synowi, ks. Witoldowi, w pierwszej do Berlina wycieczce towarzyszył, przy czem stosownie do udzielonych sobie instrukcyj, miał starać się i na opinie spotkanych rodaków wpływać. Zeszło mu wtenczas kilka miesięcy w pruskiej stolicy (1843 r.), z której przez Wrocław, gdzie dla widzenia się z nim przyjechało kilku członków rodziny, udał się do Drezna. Miał według żądania ks. Adama dotrzeć do Pragi czeskiej, ale to mu się nie udało; widział wprawdzie we Wrocławiu dwóch przedniejszych Russomanów pragskich, i tych stosownie do swoich instrukcyj o niebezpieczeństwach oddania się Rosyi ostrzegał, ale policya na żądanie rosyjskiego ambasadora kazała mu z Drezna wyjechać, i musiał znowu powrócić do Paryża.

Rok przedtem, w 1842 roku wydał był tam w języku francuzkim broszurę p. t. *Les cinq grandes puissances de l'Europe*, owoc rozmyślań swoich nad historią i biegiem spraw ludzkich na świecie. Postawiwszy na początku zasadę, że państwa do wzrostu swojego i potęgi potrzebują dwóch rzeczy: silnego rządu wewnątrz i czynnej myśli politycznej na zewnątrz, wykazywał, że z pięciu wielkich państw europejskich wtenczas, dwa tylko, silny rząd wewnątrz łączyły z taką myślą czynną na zewnątrz, Prusy i Rosya, dążące: pierwsze do zjednoczenia i wielkości Niemiec, druga do opanowania Konstantynopola i całej Sławiańszczyzny; dowodził więc dalej, że one w niedalekiej przyszłości przeważnie na szali losów europejskich zaważą. Zapowiadał, co do dwudziestu kilku latach spełnić się miało, że Prusy niechybnie będą przewodziły w Niem-

ezech; że Austria zajęta wewnątrz waśnieniem tylko różnych składających ją narodowości, wiodąca politykę mizerną, drobniawą, politykę więzień i policyi, obok zupełnej bierności na zewnątrz, straci niechybnie posiadłości swoje we Włoszech i przez Prusy wyłączoną być musi z Niemiec; że polityka Anglii, stająca się coraz bardziej bierną, przez to samo wpływ swój i znaczenie utraci, i że nareszcie rząd Ludwika Filipa opierający się na mieszczaństwie, nie jest w stanie zdobyć się na czynną na zewnątrz politykę, i że dla tego prześcigniętym będzie przez Rosyą. Zapytując siebie jaki w takim położeniu ratunek? odpowiadał: Wielkość Francyi w przeszłości stworzyło prawo Boże, to jest Kościół, którego ona starszą nazywała się córką, i prawo salickie będące podstawą monarchii francuzkiej; one to natchnęły państwo tą czynną ideą polityczną na zewnątrz, której Francya zawdzięczała przodkowanie swe światu. Musi i teraz zdobyć się na czynną politykę, bo inaczej stanie się zwolna drugorzędnem państwem. Polem dla czynnej polityki francuzkiej jest dzisiaj Wschód. Co jest tym Wschodem? czy Konstantynopol tylko? Nie; jest nim cała czynna polityka rosyjska, jest nim los państwa Ottomańskiego, Polska, Czechy, Słowiańszczyzna cała, wszystko aż do serca Niemiec, wszystko, gdzie szerzy się dzisiaj i rozpościera wpływ rosyjski. Wszędzie tam Francya swój wpływ zaszcześcić i utrwalić powinna. I nie chodzi bynajmniej o wypowiedanie wojny na bagnety; chodzi tymczasem o krzepienie i podnoszenie wszędzie sił miejscowych, o obudzenie ufności we Francyą, o budowanie tamy przeciw groźnej dla świata powodzi rosyjskiej. Kończył tą uwagą, że w rewolucyi czekającej Wschód, trzy państwa powołane są wielką odegrać rolę. Rosya, Anglia i Francya, i że połączenie się dwóch ostatnich przeciw pierwszej, mogłoby zbawić Europę.

Tak oceniającego stosunki europejskie czekała misya polityczna.

IV.

Sprawując jakieśmy powiedzieli „zewnątrzne interesa Polski,“ ks. Adam Czartoryski miał wtenczas w głośniejszych stolicach zachodnich tak zwanych agentów swoich; byli to. jakby

reprezentanci politycznie pogrzebanego narodu. Krytykowano bardzo i starano się nawet okryć śmiesznością tę dyplomacyą pogrobową. Najwięcej do zarzucenia jej mieli ci, co na rewolucyi powszechnej nadzieje przyszłości budując, wyglądali rychło wywrotu wszystkiego co istniało i zupełnego przeobrażenia świata, a nie chcieli, aby Polska wiązała się w czemkolwiek co do dawnego jeszcze należało porządku. Prócz tego w całych warstwach społecznych u nas sam wyraz *dyplomacyi* już miru nie znajdował. Polska w ostatnim wieku niepodległości swojej, i dłużej nawet, własnej nie posiadająca dyplomacyi, tradycyi jej nawet mieć nie mogła; wiele umysłów sprawy z niej nie zdawało sobie; kraj rozebrany, w epoce przezwaney epoką dyplomacyi, z tem pojęciem połączył pamięć zdrady i krzywd doznanych; w powszechności więc uważano dyplomacyę za synonim szalbierstwa, obłudy, fałszu, za coś nieuczciwego i zdrożnego, z kąd żadne dobro dla narodu wypłynąć nie mogło. Ci wreszcie, co dojrzałej na sprawy ludzkie zapatrząc się, ze stanu i potrzeb dzisiejszych społeczeństw, ich wzajemnych stosunków i wspólnej do siebie zależności zdawali sobie rachunek, choć pochwalali rzecz samą w zasadzie, ostateczną bezskuteczność wszystkich zachodów ks. Adama jako dowód potępiający je przytaczali i przytaczają jeszcze, nadając tym usiłowaniom jedno ogólne miano illuzyi. Czy na to zasługiwały jednak? czy naród z nich żadnej nie odniósł korzyści? — Nie odbudowały one Polski, to prawda, ale któremuż ze stuletnich już usiłowań naszych powiodło się lepiej? taką zaś jedynie miarą mierzyć ich użyteczność byłoby zaprawdę ciężką niesprawiedliwością. Jak upadek nasz był następstwem niezmiernie rozlicznych i długo działających przyczyn, tak i odrodzenie może stać się owocem i nagrodą wytrwałych tylko, powszechnych i długo nieustających usiłowań. Każde z nich osobno słusznie ocenić można, nie zapytując czy ono odbudowało Polskę, ale tylko, czy jej sprawie było pomocne, czy szkodliwe? czy w ogólnej ekonomice narodowej było dodatnim czy ujemnym czynnikiem? Wszystkie zachody ks. Adama i jego agentów były naturalnem, logicznem następstwem wyjścia za granicę; skoro raz powzięto myśl tej żywej protestacyi całego narodu, musiała się koniecznie utworzyć taka jego reprezentacya; usiłowania na tem polu nie popchnęły

kraju do żadnej katastrofy, nie pogorszyły w niezem jego doli; wytrwałe zaś i nieznużone niczem przypominanie Polski Europie, przybijanie, jak wyrażał się Zamoyski praw naszych na ścianach parlamentów zachodnich i gabinetów rządowych, nie pozostało bez skutku. Wiadome jest powszechnie odezwanie się cesarza Mikołaja o tych zachodach wychodztwa naszego, z którymi on, najpotężniejszy pan wtenczas, rachować się musiał; a to jedno jużby uszanowanie dla tej pogrobowej dyplomacyi naszej zapewnić powinno: Ś. p. księciu Jerzemu Lubomirskiemu jeden z wysoko postawionych mężów stanu w Austryi, mówił w 1871 r.: „Dowiedziona jest rzeczą, że ze wszystkich państw europejskich, jedno tylko zrobiło coś dla cywilizacyi i przyszłości na Wschodzie, podtrzymując i podnosząc tam Unię, a to państwo (*cette puissance*) nazywa się: książę Adam Czartoryski i generał Zamoyski.“ Kiedyś, gdy się cały ten szereg prac i usiłowań oczom naszym ukaże, w organizacyi niejako całości i spójni, z wdzięcznością zapewne nie jedną ich jeszcze ujrzymy zasługę i niejeden owoc, a cofnąwszy wyrok bezużyteczności, z uszanowaniem przyznamy, że niepodobna było zacnie reprezentować państwa po jego upadku, i tego chyba żałować będziemy, że te usiłowania szerszego w narodzie całym nie znalazły poparcia, i dla tego takich nawet środków na zawołanie nie miały, jakie przy dobrej woli ogólnej łatwo miećby mogły. Zaszczytem dla Orpiszewskiego pozostanie, że do grona tych pracowników należał.

Nie pisząc tutaj historyi tego czasu, tylko proste o ś. p. Ludwiku wspomnienie, nie możemy rozszerzać ram opowiadania naszego, a musimy się ograniczyć na tem, co się jego głównie dotyczy.

Miedzy agenturami ówczesnemi niepoślednie miejsce musiał zajmować Rzym. Przystęp do niego dla naszego wychodztwa niedawno jeszcze był utrudniony, prawie zamknięty. Rosya pojmując doskonale, iż byt nasz cały związany jest z Kościołem, chciała nas koniecznie od Stolicy Apostolskiej oderwać; na Grzegorzu XVI pogrozką srogich u siebie prześladowań kościoła wymogła zwlekana długo encyklikę, potępiającą powstanie 1830 roku; a wyzyskując ją swoim sposobem w kraju strzegła, aby wieści z tamtąd nie dochodziły do stolicy Piotrowej. Żaden z wychodzców naszych dostać się nie mógł do

Rzymu. Pierwszy dopiero Zamoyski, za staraniem hr. Montalemberta, otrzymawszy pasport w 1837 r. złożył był u nóg Ojca świętego wiadomość o prześladowaniach Kościoła w Polsce i prawdziwie ojcowskiego doznawszy przyjęcia, miał tę głośną, a za pozwoleniem Grzegorza XIV opowiadaną innym rozmowę, o wspomnianej wyżej encyklice. Baczącemu na wszystkie potrzeby narodu, księciu Adamowi bardzo o to chodziło, aby utrzymać zawiązany stosunek; ztąd powstała myśl stałego w Rzymie agenta. W okolicznościach ówczesnych, agentem takim nie mógł być człowiek, którego imię samo i stanowisko społeczne zwracałoby uwagę nieprzyjanych nam rządów, ale musiał nim być koniecznie szczery katolik, wyrobionych zasad politycznych, a do tego oględny, rozważny, któryby do wymagań miejscowych zastosować się umiał, a osobą swoją przychylnieść zjednać potrafił. Orpiszewski, jak wiemy, od lat kilku był już do księcia Adama i Zamoyskiego zbliżony, był człowiekiem wierzącym i do Kościoła przywiązany, zasady jego polityczne dobrze były znane, a oprócz tego zawdzięczał on jeszcze matce swojej, jak sam w przytaczanych już tutaj wspomnieniach wyraził się, „to coś estetycznego w zewnętrznych formach, co mu drzwi obcych otwierało, a było potrzebnem do pełnienia takich właśnie obowiązków.“ Jego więc książę Adam na agenta w Rzymie wybrał.

Opatrzony polecającami nuncjusza papieżkiego w Paryżu listami, do kardynała Lambruschini, naówczas sekretarza stanu, do kardynała Mezzofanti, i do audydora Roty monsignora Marini (później także księcia kościoła), w początkach marca 1844 r. przybył Orpiszewski do Rzymu z memoryałem ks. Adama o stanie kościoła w Polsce i rozpoczął tam służbę swoją, która prawie lat pięć trwać miała. Jakiego doznał wrażenia znalazłszy się w stolicy Piotrowej, najlepiej poświadczy wiersz jaki wtenczas wylał mu się z duszy, a który czytelnicy nasi zapewne radzi tu znajdą. Nosi on datę 25 marca, pisany więc był bardzo rychło po przybyciu na miejsce.

R Z Y M.

To Rzym — widzę go — to miasto olbrzymie!

W ziemi połowa — nad ziemią połowa;

Ramię pogaństwa, chrześcijaństwa głowa;
Podwójne dzieje, a jedno ma imię:
Kiedy miecz podniósł, cały świat krwią zbroczył!
Kiedy krzyż podniósł, światłem go otoczył!

Z wnętrzości ziemi, jak przedpotopowy
Świat, kośćmi zwierząt sterczy kolosalnych,
Tak i on — kolumn i bram tryumfalnych,
I świątyń stare wykazuje głowy;
Z posady gruzów, w sto świątyń wyrasta —
Taką jest postać Piotrowego miasta!

W miejscu cesarzów, z wierzchu kolumn strzeże
Stolicy Pańskiej, Paweł i Piotr święty:
A w Colosseum z drewna krzyż zatknięty,
Nie ryk lwów słychać, lecz ludu pacierze.
Dwa Rzymy straszną tam stoczyły bitwę,
I miecz się strzaskał o świętych modlitwę.

Polsko! i w tobie szatan dzisiaj gości,
I mieczem wyrwać chce z serc wiarę świętą;
Masz wprawdzie w łonie bohaterów kości,
Przed okiem kartę misyi rozwiniętą,
I miecz z pod Wiednia, i świętych masz w niebie...
Tylko o Polsko nie zapomnij siebie!

Pierwsze kroki nowego agenta nieistniejącego państwa były trudne. Kardynał Lambruschini sam był redaktorem głównej encykliki potępiającej powstanie 1830 r. i z tem się chwalił, bo je uważał za wybuch czysto rewolucyjny; przyjął Orpiszewskiego bardzo zimno. Mezzofanti, lubo odezwał się po polsku i to piękną, złotego wieku naszego polszczyzną, o rzeczach politycznych wspomnieć sobie nie pozwolił. Trzeba było cierpliwie czekać sposobnej chwili, a tymczasem dać się osobście poznać. Jeden monsig. Marini odrazu okazał się szczerze przychylnym, i ten zapoznawszy go z księżną Borghese i monsignorem Corboli-Bussi, posiadającym wtenczas zupełną ufność Kardynała sekretarza stanu, wprowadził go do towarzystwa rzymskiego, i przez to dalsze mu czynności ułatwił.

Z monsignorem Corboli przyszło prędko do bardzo bliskich stosunków, które już się do śmierci jego przerwać nie miały; rychło zażądał on momoryału księcia Adama i chciał go razem z Orpiszewskim odczytać i rozważyć. Powoli, powoli, wszyscy dostojnicy rzymscy widząc, że wysłaniec polski nie narzuca się, nie miota, że jest rozważny i delikatności pełen, a na tem co mówi polegać można, nie tylko przywykli do niego i ufność mu swoją okazywać zaczęli, ale nawet radzi byli, że źródło informacji sumiennych mieli pod ręką. Po niejakiem czasie, nawet kardynał Lambruschini, rad z oględnego zachowania się agenta, dał się z tem słyszeć, że chętnie widzi go w Rzymie, radził tylko, aby ze wszystkim udawał się do monsignora Corboli, a jak najrzadziej w sekretarycie stanu bywał. Orpiszewski do tego się zastosował. Zdawał ze wszystkiego sprawę ks. Adamowi, który cały sposób zachowania się jego pochwalał, tylko bojąc się, aby młody, rozpoczynający swój zawód, zniechęceniu nie uległ, dodawał: „Nie trzeba jednak nadto obawie się poddawać; nieraz powtórzone starania zwyciężają niechęć i obojętność, nieraz szczęśliwa odwaga daje nam zająć punkt, który stracilibyśmy ostrożnem odkładaniem naszych starań. Myśl o sprawie, pracuj, nie dawaj się opuszczeniu i zniechęceniu zawojować. Wiem, że te upomnienia są zbyteczne, piszę je wszelako, bo wiem, że sam czasem potrzebuję je sobie powtarzać. Człowiek skłonny jest stygnąć, omdlewać, kiedy nie jest od chwili do chwili rozbudzo- nym. Rzeczy wszakże postępują, ale jak woda na obszernym horyzoncie rozlana, postępują zwolna, bo nie ma gotowizny, ady im prędkości dodać.“

Ostatnie wyrazy z listu ks. Adama do Orpiszewskiego (z września 1844 r.) przytoczyliśmy dla tego, aby wskazać jeszcze, jakimi środkami utrzymywała się ta cała służba polska wtenczas, co jej w oczach nieuprzedzonych ludzi tylko poważania przysporzy. Istniała ona właśnie tylko dobrą wolą wszystkich pełniących ją, a Łokietkową stojących u steru wytrwałością. Kto tam jakiegokolwiek środki do życia posiadał, pełnił ją własnym sumptem, jak dawne urzędy i poselstwa za Rzplitej, tylko teraz bez nadziei starostw i chleba *bene merentium*, jedynie z miłości ojczyzny. Orpiszewski zawsze żył wyłącznie szczupłym dochodem jaki mu dostarczony przez matkę kapi-

talik przynosił. Matka księżnej Adamowej Czartoryskiej, księżna Sapieżyna, którą ministrem finansów całej rodziny nazywano, a która bardzo lubiła i ceniła Orpiszewskiego, z dobrocią sobie właściwą opiekowała się funduszem rzymskiego agenta i przez długie później jeszcze lata dochód mu jego wraz ze szczegółowemi rachunkami przysyłała regularnie.

Na jednaniu Polsce przyjaciół w Rzymie i dostarczaniu tam wiadomości o stanie Kościoła u nas i jego ucisku, przeszedł rok 1845ty. W ostatnich tego roku tygodniach, kiedy do stolicy papieskiej miał przybyć cesarz Mikołaj, Orpiszewski lękał się, aby mu na czas wyjechać nie kazano, ale już takie wyrobił był sobie stronnictwo, że zapytany o to mons. Corboli powiedział mu: „Bądź spokojny; Buteniew o to nie poprosi, bo wie, żeby mu odmówiono.“ Został więc i widział Mikołaja wracającego z papieskiego pałacu, po tem pamiętnem spotkaniu z Grzegorzem XVI, na którym mocarz północny uczuł się pokonanym przez watykańskiego starca. Ks. Adam pisał do swego agenta: „Kampania tegoroczna była trudna, i dość pomyślnie skończyła się; miło mi dziękować panu za jego starania. Umiałeś z trafnością rozmaite przeciwności przemódz, nie dałeś się niemi zastraszyć, swoje wypowiedziałeś z taką mocą, że wszędzie prawie użyte argumenta skutkowały.“

Ale czekały go nowe trudności, zawody i bóle. Szeroko rozlane, jak mówił ks. Adam, wody, miały jeszcze trafić na ukryte skały, napotkać prawdziwe przepaści, w obec których wszelka już gasnąć zdawała się nadzieja, a dla politycznych sterników jakby gwiazda przewodna. W nieprzerwanej tradycji dziejów naszych, nadchodzący rok 1846ty miał wszystkie inne grozą swoją prześcignąć i niewypowiedzianym bolem dusze polskie przejąć. Był to jak wiemy, rok najfatalniejszych w Poznańskim i w Galicyi prób i wybuchów, których epilogiem była rzeź galicyjska. Cios ten dał się uczuć wszędzie. Ks. Adam w końcu maja pisał do Orpiszewskiego: „Brak nadziei napadł tu wszystkich; i nie dziw, po takich niewymownych klęskach nikt jeszcze nie przyszedł do równowagi, nie ocucił się, i wielu już się nie podniesie z upadku.“ Oburzenie serc szlachetnych na ówczesne władze austriackie było powszechne w Europie, w Polakach naturalnie spotęgowane je-

szcze, ale też i zarzuty rewolucyjnego ducha spadły na nas w zachowawczym obozie. W Rzymie Grzegorz XVI. do polityki nie mieszał się wcale; ale kardynał Lambruschini prowadził ją opierając się głównie na Austrii. Nie było na chwilę co robić agentowi naszemu w papieżkiej stolicy; uznał, że rozstropniej było oddalić się na czas jakiś, i udał się do Neapolu, gdzie znalazł się także synowiec przyszłego papieża, hr. Gabryel Mastai, z którym Orpiszewski bywając u Corbolego najbliższe zawarł był stosunki. Tam ich zaskoczyła wiadomość o śmierci Grzegorza XVI, tam niespodziane wyniesienie na stolicę apostolską Piusa IX. Synowiec papieski nie przypuszczał tego wcale, myśląc, że papieżem zostanie kardynał Falconieri albo Soglia.

Ze wstąpieniem na tron Piusa IX nastąpiła epoka dla wszystkich pamiętna. Ogłoszona zaraz amnestya dla politycznych przestępców była zapowiednią zmiany polityki; powitana ogólną we Włoszech radością, rozpoczęła cały szereg reform. Książę Adam już w sierpniu pisał do Orpiszewskiego, żądając, aby wracał do Rzymu:

„Nowy Papież okazuje, a nawet już dowodzi wcale innych dążeń i zasad politycznych od swego poprzednika. Cieszę się z twoich stosunków z jego synowcem, ale trzeba z nich korzystać. Nowy sekretarz stanu już mianowany. Wszystko okazuje zmianę systematu, oddalenie się od Austrii, przechylenie się do Francyi. Czy to małoważnem dla naszej sprawy? czy nie warto się o tem zapewnić i o stopniu tej odmiany? Dawne pana stosunki może nie będą skuteczne, nowe zawiązywać będzie potrzeba. Czy na to czasu nie trzeba? Niezawodnie wszędzie, i w Rzymie także, przy początkach organizującego się nowego rządu, stosunki i przystępy do osób łatwiejsze bywają. Można więc i teraz być bardzo użytecznym w Rzymie, przypatrując się nowym robotom i nowym osobom, rokując o nich i zaprowadzając z nimi stosunki. Tego dowodzić nie potrzeba.“

Wrócił Orpiszewski do Rzymu. Monsignor Corboli-Bussi przyjął go z dawną serdecznością, a stosunki z rodziną Mastaiów ułatwiły mu wiele. Dotychczas, pomimo dwuletniego prawie w Stolicy świętej pobytu, jedną miał tylko i to nieznaną audyencyą u Grzegorza XVI, któremu nawet był przedstawiony jako Francuz. Pius IX rychło udzielił mu posłucha-

nia, od razu przyjął go ze współczuciem i dobrocią, którą już odtąd stale agentowi polskiemu okazywał; pozwalając sobie mówić o Polsce i łaskawie wszystkiego słuchając, powiedział, że Polacy pokutują za trzy grzechy: za *ucisk włościan*, za *obojętność względem Unii* i za *rozwoły*; że teraz wszyscy się przeciw nim spiknęli, ale że powinni być cierpliwi i w wierności Kościołowi wytrwać, a Pan Bóg, który nikogo nie opuszcza i ich nie opuści. Po tem posłuchaniu odezwał się Ojciec święty do przybocznych: „*Voici un agent tacitement reconnu.*“ Powtórzono to w Rzymie i odtąd stanowisko tam Orpiszewskiego zostało utrwalone. Memoryały ks. Adama już nie tylko łatwiej do sekretaryatu-stanu dostawały się, ale nawet więcej uwagi zwracać na siebie zaczęły. Kiedy cesarz Mikołaj do Rzymu przysłał Błudowa, a Ojciec św. do układów z nim wyznaczył kardynała Lambruschini i monsignora Corboli-Bussi, Orpiszewski mógł niejednej dostarczyć wiadomości i wskazówki. Całą usilnością jego, we wszystkich zachodach i przy zawiązywaniu wszelkich stosunków było ostrzeganie rządu papieskiego, aby się nie dał przez Rosyą skłonić do żadnego podpisu, któryby przez nią ze zwykłą jej zřecznością, mógł być w oczach Europy i duchowieństwa krajowego wyzyskany, na niekorzyść Kościoła. W następnych posłuchaniach pozwolił sobie zwrócić na to nawet Ojca św. uwagę. Błudow w towarzystwie rzymskiem nie dobrze był przyjęty, bo już się opinia o rządzie rosyjskim o wiele była zmieniła, Orpiszewski zaś zawsze utrzymywał, bo go o tem monsig. Corboli upewnił, że nie zawarto wtenczas konkordatu, jak głosił gabinet petersburski, tylko konwencją, rodzaj protokołu złożonego z kilku punktów. Tak w opuszczeniu powszechnem, kiedy ks. Adam, już z największemi był oznajmiony kłęskami, pisał do Orpiszewskiego (w paźdz. 1846 r.) „że nigdy tak trudno, tak ciężko, tak smutno nie było nam jak wtenczas, i że jeżeli Bóg nie pomoże, on nie wie, co się z nami stanie,“ miłosierdzie Boże w sterniku łodzi Piotrowej dawało nam orędownika, którego ojcowskiej przychylności mieliśmy ciągle doznawać; przy nim też otwierała się możność służenia Polsce.

W czasie ogólnej utraty nadziei, o jakiej pisał ks. Adam, bardziej może od innych na duszy zbolały, okropnemi wypadkami w kraju na zdrowiu złamany, przybył do Rzymu Za-

moyski. Udawał się wtenczas do Ziemi świętej, dla zaczerpnięcia tam sił nowych do życia i chciał przed rozpoczęciem pielgrzymki cześć swoją złożyć Głowie Kościoła. Był z nim na posłuchaniu u Piusa IX. Orpiszewski, a odjeżdżającego pożegnał wierszem, który tu przytaczamy, bo nigdy drukowanym nie był, a jest pamiątką serdecznego między nimi stosunku i uczuć, jakie wtenczas i do śmierci przepełniały obydwóch.

NA POŻEGNANIE

do pułkownika Władysława Zamoyskiego jadącego na Wschód.

Żegnam cię w Rzymie. Ty w Jerozolimie
Jedziesz zaczerpnąć oehłody i siły;
Tak cię tułactwa lata przygnębiły,
Tak cię przygniotło trudów i trosk brzemień.

Zacząłeś zawód jako orzeł młody,
Który wprost z gniazda między chmury dąży;
Dymem ich owian, wśród błyskawic krąży,
Wśród gromów pierwszej używa swobody.

Zbyt wczesnie skrzydła zwinęły ci kłęski,
I z chmurnych niebios wtrąciły w padoły,
Błotnych zawiści, zabiegów mozoły!
Nie na to zrodzon był twój umysł mężki!

Hetmańska dusza dottrzymała kroku:
Lecz skrępowana nie w swoim żywiole,
Piętno wysilen wybiła na czole,
Stanęła smutkiem w ociemnionem oku.

Odetchnij nieco; niech po grzmiącym morzu
Pobuja trochę myśl rozkrępowana;
Na arabszyku w krainach sultana
Pohulaj sobie po dzikiem przestworzu.

A kiedy padniesz na Chrystusa grobie,
O folgę Polsce prosząc w Jego imię,

I mnie tu serce zadrży w świętym Rzymie,
I chórem, w jednej złączeni żalobie,

Z dwóch krańców świata: Wschodu i Zachodu,
Z dwóch miejsc najświętszych, podniosiem wołanie:

„Przez rany Twoje, i przez krew Twą Panie,
„Koniec już, koniec, cierpieniom narodu!„

Rzym d. 3 grudnia 1846 r.

Taką modlitwą zakończył Orpiszewski krwawej dla nas pamięci rok 1846ty. Zadanie agenta w Rzymie łatwiejszem było teraz niż w pierwszych chwilach jego tam pobytu. Byli już w stolicy Piotrowej OO. Zmartwychwstańcy, w zgromadzeniu zakonne zawiązani, którzy życiem swoim coraz większe zdobywali tam dla siebie poszanowanie; była Matka Makryna, żywy świadek i ofiara prześladowań rosyjskich; bywało coraz więcej osób z kraju samego, a w miarę nawracania się naszego i ufność Stolicy Apostolskiej z życzliwością jej rosła. Przekonywano się też coraz bardziej o prawdziwych uczuciach i zamiarach rządu rosyjskiego. Synowiec Piusa IX, zawsze w serdecznych z Orpiszewskim zostający stosunkach, pisał do niego ze swojej Sinigalii: „Mieliśmy u siebie posła tureckiego i obiadował z całą moją rodziną; ojciec mój wznosił toast za utrzymanie państwa Ottomańskiego. Dziwne to zaprawdę, ów pobyt posła sułtańskiego na dworze papieskim, ale napisałem o tem do Ojca świętego i powiedziałem mu, że to wcale zadziwiać nie powinno, bo w naszym wieku prawdziwe niebezpieczeństwo dla Kościoła nie w tych leży, którzy dzisiaj posiadają Konstantynopol, ale w tych, którzy go właśnie pożądają.“ Nie było jednak to położenie agenta bez trudności i teraz. Pod tchnieniem nowego Papieża zmieniała się niejako postać rzeczy na świecie. W walce o swobody, jaka toczyła się między rządami i społeczeństwami europejskimi, Pius IX stawał wyraźnie jako rozjemca; czystym i szlachetnym pragnieniem, potępianym dotychczas, przyznając prawo bytu, nową otuchą napełniał wszędzie serca uciśnionych i łaknących sprawiedliwości; sam zaś, otwierając drogę ulepszeń i konstytucyjnych reform, zdawał się wszystkich wzywać do rozpoczęcia

nowej epoki, naprawiania krzywd i prawdziwego chrześcijańskiego postępu. Imię jego z błogosławieństwem powtarzały tłumy na włoskim półwyspie, a oczy całej Europy zwracały się coraz bardziej na włoską stolicę, z nadzieją i otuchą z jednej, z bojaźnią i z niedowiarzaniem z drugiej strony. Kiedy we Włoszech jeden rozlegał się okrzyk: „niech żyje Pius IX i wolne Włochy!“, ks. Metternich do feldmarszałka Radeckiego pisał te sławne później wyrazy: „Umiemy obydwaj walczyć z nieprzyjacielem mającym ciało, ale do walki z fantastycznymi widmami, siła materyalna nie wystarcza; a do takiej właśnie walki co chwila wyzywani jesteśmy. Naszemu wiekowi pozostawionem było ujrzyć w Watykanie liberalnego papieża (einen liberalisirenden Papst).“ Można było spodziewać się walki. — W Rzymie samym, w sferach rządowych, rozmaite napotykały się przekowania; patryoci włoscy, jak monsignor Corboli, jak synowiec papieżki, dzielali nadzieje Massimo d' Azeglio i innych dusz gorętszych; byli zaś, zwłaszcza między starszymi, i tacy, co żałowali zmiany systematu i pragnęli powrotu do czasów i polityki Grzegorza XVI. Gabryel Mastaï pisał do Orpiszewskiego: „Stryj mój jest najszlachetniejszym człowiekiem na ziemi; zamiary jego są najświętsze, ale zadanie ma przed sobą trudne; rząd, którego jest głową, zbyt jest stary, zużyty; rozmaite organa jego zostają często w zupełnem z sobą przeciwieństwie, a przy takim stanie machina cała rozpaść się może. Jak tu zbudować tamę przeciw powodzi? Nigdy mąż stanu w trudniejszych okolicznościach nie obejmował steru państwa. A ci poczciwi księża mniej znają sztukę rządzenia ludźmi niż my obydwaj obyczaje mieszkańców na księżycu.“ Wśród tych rozlicznych prądów, wśród uczuć własne nawet przepełniających nieraz serce, w miejscu gdzie przezorność tak wysoko jest cenioną, trzeba było mieć się na ciągłej baczności, nigdy zbyt daleko unieść się nie dać, własnym panować uczuciom, a pozostając zawsze samemu sobie wiernym, nie zapomnieć na chwilę o charakterze reprezentanta katolickiej Polski przy Głowie Kościoła, i żadnym krokiem przychylnego tejże Polsce usposobienia Stolicy Apostolskiej nie zachwiać. Orpiszewski z wielkim taktem wszystkim tym wymaganiom swojego stanowiska zadość uczynić potrafił.

W sferach politycznych rozumiano wtenczas, że starcie z Austryą jest nieuniknionem. Ówczesny poseł francuski w Rzymie, hr. Rossi w depeszach, które później, gdy już posadę tę opuścił, w chwilach wylania Orpiszewskiemu odczytywał, nalegał na rząd francuski, aby ten dla zachowania pokoju europejskiego wpływem swym przyczyniał się do wywołania konstytucyjnych reform we Włoszech, aby następnie otrzymać je dla całej Austrii w Wiedniu; Ojcu zaś świętemu, w przewidywaniu wypadków, powiększenie i uorganizowanie armii doradzał. Książę Adam pilnie wszystkim przypatrujący się symptomatom, podzielał zdanie hr. Rossi. Korzystając z dobrego w Rzymie usposobienia dla swego agenta, częściej teraz niż zwykle pisywał do niego, a w długich memoriałach, jakby z umysłu po francusku redagowanych, aby rządowi papieżkiemu udzielone być mogły, malował ówczesny stan Europy. Przewidując w niedalekiej przyszłości walkę Włochów z Austryą, a wiedząc, jaką cenę gabinet wiedeński do włoskich posiadłości swoich wtenczas przywiązywał, był przekonany, że Austrya sama walkę rozpocznie, uprzedzając przeciwnika, póki ten przygotowanym nie będzie; że zaś wiedział, iż w Wiedniu, za twórcę ówczesnego liberalnego ruchu uważano Ojca świętego, więc się obawiał, aby wojenne kroki przeciw niemu odrazu skierowane nie były. Ostrzegał o niebezpieczeństwach, donosił o gromadzonych w Austrii wojskach, powtarzał, że z Ferrary, która już miała austryacką załogę, najłatwiej było zająć Toskanią, a z Florencyi ciągnąć do Rzymu; doradzał przygotować się wcześniej, i w tym celu wojsko pomnożyć i uorganizować. Ofiarował siły wychodźstwa polskiego, które wtenczas wielu jeszcze generałów i oficerów liczyło, do walki z Austryą najchętniej dałoby się użyć, a z waleczności swojej znane było światu. Kilka razy do tego powracał. Orpiszewski wszystkie te projekta rządowi papieżkiemu przekładał. Napomykano nawet o jenerale, któryby całą organizacją armii mógł się zająć, i zdawało się księciu, że Chrzanowski, posiadający angielskie obywatelstwo, a osobą swoją najmniej wydatny, zdolny zaś i sumienny, byłby w tym razie najodpowiedniejszym. Rząd papieżki odmawiając, składał się tem, że chorągwi polskiej rozwijać teraz nie może.

Wracając ze Wschodu, przybył do Rzymu Zamoyski i znowu z Orpiszewskim znalazł się u Ojca świętego, i on życzył i spodziewał się wmięszania się Państwa kościelnego do wojny z Austryą, łącząc z tem nadzieję wielkich i zbawiennych zmian w Europie. Przełożył Ojcu świętemu raz jeszcze projektu ks. Adama i podniósł znowu myśl polskiego w wojsku papieżkiem legionu. Wysłuchawszy go z dobrocią Pius IX dwa razy powtórzył: „*Non voglio essere Giulio II*“. i dodał jeszcze, te później często powtarzane, a na tożsamości brzmienia we włoskim języku oparte wyrazy: „mam kanony, nie potrzebuję harmat“. Namiestnik Chrystusowy wojny wywoływać nie chciał, wojska swoje na granicę posłał, zakazawszy im kroków zaczepnych, a Cesarza austriackiego z ojcowską miłością wezwał, aby dobrowolnie prowincjom włoskim niepodległość ich wrócił i przezto je dla siebie pozyskał. Stróż prawdy, i ogólny duszpasterz, obydwom stronom gotującym się do walki, granice sprawiedliwości i obowiązku wskazywał.

Tymczasem wypadki posuwały się dalej; rząd austriacki nowemi rozporządzeniami w Medyolanie i Lombardyi rozjątrzał uczucia włoskie coraz bardziej; Massimo d'Azeglio pisał palącą swą książkę *I lotti di Lombardia*, w miesiąc potem wydaną w Rzymie; w pierwszych dniach stycznia 1848 r. wybuchło powstanie w Sycylii; zaraz potem Neapolitańczycy na królu swoim wymogli konstytucyę, za Ferdynandem II poszedł w. ks. tokański, zaraz za nim król sardyński, Karol Albert. Wszystkie te wiadomości z radością niesłychaną powitał Rzym. — W pierwszych dniach marca nadeszła tam wiadomość o rewolucyi paryskiej 24 lutego i o ucieczce Ludwika Filipa. Pius IX 10 marca utworzył nowe ministeryum i statut konstytucyjny, z dwoma Izbami Państwu kościelnemu nadał. — Niebawem, Gabryel Mastai uwiadomił Orpiszewskiego, że Ojciec święty, na utworzenie legionu polskiego w zasadzie się zgadza i pozwala mu układać się w tym przedmiocie z ministrami. Układy w tajemnicy rozpoczęły się zaraz. Właśnie rozwiązano we Francyi dwa pułki gwardyi municypalnej i te do wojska papieżkiego wcielone być miały; ułożono się, że dostaną polskich oficerów, i że to będzie pierwszy, przyszłej formacyi zawiązek. Minuta umowy z Minghettim była już napisaną. Zamoyski, który tymczasem do Turynu odjechał, dla układów z Karolem Albertem,

o tem uwiadomiony, miał niezwłocznie 24 oficerów nadesłać. O chorągwi traktować miał Orpiszewski z monsignorem Corboli; ten przystawał na to, że w razie, gdyby legia z Rzymu wysłana była, ale nie pierwiej, będzie miała prawo rozwinać polską chorągiew.

Tak stały rzeczy, kiedy do wrażeń tych dni gorączkowych, i do trudności nieodłącznych od wszelkiej politycznej misyi, przybyły dla Orpiszewskiego nowe jeszcze wrażenia i nowe, najboleśniejże trudności. — Od końca stycznia bawił w Rzymie Mickiewicz. Przybył do Stolicy świętej, w zamiarze przedłożenia Papieżowi „*sprawy bożej*“; tak adepci Towiańskiego naukę jego nazywali; nie szukał zrazu rodaków, w odosobnieniu i skupieniu wewnętrznem gotując się do tego aktu, ale Orpiszewskiemu, z którym był zawsze w dobrych stosunkach, powiedział, aby mu posłuchanie u Ojca świętego wyrobił. — Orpiszewski monsignorowi Corboli przedłożył, iż Mickiewicz nie tylko między rodakami ale i we Francyi takie ma stanowisko, iż mu posłuchania koniecznie udzielić należy; uprzedził o tem Adama, który rad był z tego. Posłuchanie miało miejsce. — Myślano, że wieszcz oddawszy naukę pod rozstrzygnięcie Kościoła, do dawnych swych względem niego uczuć powróci. Nikt tego goręcej nie życzył nad naszego Ludwika, który zawsze Mickiewicza czcił głęboko, i sam mu wiele zawdzięczał. Ale wiadomość o rewolucyi paryzkiej, zmieniła wszystko. — Adam opuszczając Francją, intuicyą geniusza przewidywał burzę; przed wyjazdem z Paryża odzywał się głośno, że dni Orleanów są tam policzone, królowi Hieronimowi zapowiadał nawet, że Bonaparci prędko przyjdą do władzy, wierzył najmocniej w rozpoczynanie się nowej dla świata ery, w urzeczywistnienie tego wszystkiego, co w ostatnim roku kursu swojego z katedry Kolegium francuskiego wypowiedział; obejmowało to nie tylko świat polityczny, społeczny, ale sięgało najwyższych życia zagadnień, świata religijnego, bo zapowiadało nowy, jakoby wyższy rozwój chrystyanizmu, jakoby nową w nim ewolucją, mającą być w stosunku do Ewangelii tem, czem ona była względem zakonu Mojżesza!!... W każdym objawie uczuć ludowych, witał on zapowiedź nowej epoki. Niebawem nadeszła wiadomość o rewolucyi w Wiedniu i o ustąpieniu wojsk austryackich z Lombardy. Na wieść o tem, lud w Rzymie zebrał się tłumnie

i orły habsburskie na ambasadzie austriackiej i wszędzie, gdzie tylko je znalazł porzucił i porozbijał, a później na placu *del Popolo* spalił. Obecny temu wybuchowi Mickiewicz zawołał: „Czas manifestacyj skończył się, zaczyna się epoka czynów!“ Wtenczas powstała w duszy jego myśl utworzenia legionu polskiego w Rzymie i wezwania Papieża, aby stanął na czele wyzwalających się ludów. Rozognionego, spotyka w parę dni później Orpiszewski na ulicy. „Wyrób mi posłuchanie u Corbolego dziś jeszcze“, mówi mu Adam. Orpiszewski poszedł i posłuchanie otrzymał, ale wróciwszy, dowiedział się, że się ma zebrać zgromadzenie Polaków w celu utworzenia legii w służbie papieżkiej. — Wspomnieliśmy o układach, jakie w tym przedmiocie toczyły się właśnie między rządem i agentem polskim. Orpiszewski pobiegł zapytać, czy wobec głośnego dzisiaj zamiaru Polaków może co o układach tych wspomnieć? Powiedziano mu, żeby milczał zupełnie: „Zaszkodziłbyś rzeczy całej, nam i sobie; musi to do czasu w zupełnej tajemnicy pozostać, bo dzisiaj chorągwi polskiej podnosić nie można.“ — Orpiszewskiego rola była wskazana: o układach nie wspomnieć nie mógł; wierny syn Kościoła, dopełnień Objawienia dla siebie i narodu nie potrzebował i nie chciał; jako agent polski powinien był wszystko wiedzieć, sam do niczego się nie mieszać, ale o ile podobna tak rzeczy pokierować, aby i Mickiewicza ile możności oszczędzić i przychylnego dla nas usposobienia Stolicy Świętej niczem nie zachwiać. Zebrało się zgromadzenie, w którym mieli udział i OO. Zmartwychwstańcy Jełowicki i Hube. Adam ułożył kilka punktów mających służyć za podstawę umowy z rządem papieżkim i uchwalono wysłanie do Ojca świętego deputacyi; wybrani do niej, oprócz Adama, Edward Jełowicki, brat O. Aleksandra, hr. Edward Żubieński i Roman Postępski malarz — ludzie najrozmaitszych odcieni politycznych. Mickiewicz żądał, aby Orpiszewski przyłączył się do nich. Ten obawiał się, aby Ojciec święty, ujrzawszy go w deputacyi proszącej o zawiązanie legionu, o którym jemu właśnie układać się pozwolił, za złe tego nie wziął i dla tego poszedł obawy swoje synowcowi papieżkiemu przełożyć i rzecz całą wytłumaczyć. Mastai, już o wszystkim przez O. Howieckiego uwiadomiony, powiedział mu, żeby z deputacją przychodził, a że on Ojca świętego uprzedzi i krok ten wytłuma-

czy. Był więc Orpiszewski na posłuchaniu. Trwało ono przeszło godzinę. Adam mówił z największym zapalem, że świat domaga się od Ojca świętego, aby stał się zbawcą ludów; że on, Mickiewicz, zna młode pokolenie, że wie z własnego doświadczenia ile w niem jest energii i zapалу, ale wie także, że tylko za pomocą uczucia patryotycznego porwać je dzisiaj i poprowadzić można, że ono potrzebuje kierownika, bo zostawione samemu sobie, pójdzie, gdzie je namiętności poniosą, że tym kierownikiem, stojącym na czele wyswobadzających się ludów, powinien być Ojciec święty, bo inaczej, kiedy on tego zamiecha, inni ster uchwycą ze szkodą Kościoła, i Papież za krew przełaną będzie odpowiedzialny. Mówił głośno, w najwyższym podniesieniu uczucia, tak, że Ojciec święty uderzony szczerością mówiącego, słuchając z dobrocią, kilka razy powtórzyć musiał: „*Figlio, non tanto forte, alzate troppo la voce*“. Na wzmiankę o legionie, kazał się udawać do monsignora Corbolego, któremu rzecz tę polecił; na powtarzaną zaś prośbę o błogosławieństwo powiedział, że legionu publicznie błogosławić nie może, ale każdemu z przytomnych udzieli błogosławieństwa. Nazajutrz miało miejsce drugie zgromadzenie, już mniej liczne, bo OO. Zmartwychwstańcy i ich najbliżsi usunęli się. Chodziło na niem o wybór dowódcy. — Orpiszewski, będący dotychczas biernym tylko świadkiem, odezwał się teraz, że żaden rząd nie zgodzi się na to, aby mu narzucano dowódcę, że on sam go zazwyczaj wybiera, i z nim się później umawia. Ktoś z przytomnych powiedział, że takim dowódcą mógłby być Zamoyski. „Nigdy! zawołał Adam, bo jest człowiekiem stronnictwa, a tutaj trzeba człowieka czystego, któryby do żadnego stronnictwa nie należał, jak n. p. Karol Różycki“; i zwracając się do Orpiszewskiego dodał: „Tyś człowiek szczery i zacny, a nie mógłbyś pomimo to być wodzem, bo także do stronnictwa należysz.“ — Na ostatnie posiedzenie Adam przyniósł ułożone przez siebie zasadnicze punkta, jakby podstawy przyszłego legionu, które sam symbolem politycznym polskim nazywał. Były one w najzupełniejszym związku z tém, co Towiański nauczał, a co wtenczas przepełniało duszę poety. Orpiszewski odezwał się do Adama: „Mówiłeś, żeś człowiek szczery; otóż z całą szczerością ci powiem, że akt ten cały jest tylko pokrywką nauki Towiańskiego i że celem całej tej roboty nic innego nie jest,

jak ta właśnie nauka. Jeżeli będę o to przez rząd tutejszy zapytany, powiem mu to sumiennie". — „Rób co ci obowiązek nakazuje, odpowiedział Mickiewicz, nasza rzecz teraz wybory". — Orpiszewski wyszedł. Na przewodnika legionu wybrano naturalnie Mickiewicza; wojskowym dowódcą został pułkownik Siodółkowicz.

Nazajutrz, poszedł Orpiszewski do Adama, aby mu to samo co w wigilią oświadczyć, ale zarazem o całym osobistym do niego przywiązaniu zapewnić. Mickiewicz przyjął go zimno, skłonił się grzecznie i powiedział: „Po tem, co zaszło, bliższe stosunki między nami byłyby hipokryzyą". — Na tem przerwał się, z wielką dla Orpiszewskiego boleścią, cały z Adamem stosunek. W 1852 r. spotkali się jeszcze w Paryżu, ale już do zbliżenia nie przyszło. Opowiedzieliśmy tę chwilę tak szczegółowo, według spisanych na razie słów samego Orpiszewskiego, bo do końca życia do najboleśniejszych dla niego należała wspomnień, z powodu uczuć, jakie miał zawsze w sercu, dla wielkiego poety. Że Mickiewicz był najzupełniej szczery, że żadnych pokrywek nie szukał, nie ulega najmniejszej wątpliwości; pod wpływem Towiańszczyzmu był przepełniony tem, co mówił i czynił; żałował, że Towiańskiego w Rzymie nie było. „Stan jest taki, pisał, że gdyby przybył, główny węzeł dałby się rozwiązać i otworzyłyby się drogi dla milionów Słowian". Dzisiaj, zbytecznem już byłoby dowodzić, że się najzupełniej łudził i mylił. Orpiszewski, jako katolik i jako agent polski nie mógł inaczej postąpić jak postąpił.

Znajdował się wtenczas w Rzymie Zygmunt Krasiński. Dwaj najwięksi polscy poeci zupełnie inaczej zapatrywali się na wypadki; w pojęciach swoich o chwili ówczesnej znaleźli się jakby na przeciwnych biegunach. Mickiewicz odnowienia świata oczekiwał; autor *Komedyi Nieboskiej* widział w tem tylko początek kataklizmu światowego, jaki przepowiadał, a na którego niedościgłym końcu, „gdzieś na późnej wieków fali", zwycięstwo dopiero Ewangelii przewidywał. Krasiński związał teraz serdeczną z Zamoyskim przyjaźń, a dawną też z Orpiszewskim odnowił znajomość. Świadek zachowania się jego w tej chwili, pisał do Zamoyskiego, który, jak powiedzieliśmy, był już w Turynie. „Jeden Orpiszewski we wszystkich tu zdarzeniach z wielką godnością i tęgością postępował. Nigdy w ży-

ciu pocciwszego i zaciejszego człowieka nie spotkał. Licz zawsze na niego; takie charaktery w naszych czasach rzadkie“.

W kilka dni później (10 kwietnia) Mickiewicz na czele kilkunastu młodzieży, po większej części artystów, po nabożeństwie odprawionem w kościele San Andrea della Valle i po gorącej do młodzieży przemowie, Rzym opuścił, udając się do Medyolanu. Tegoż dnia, kiedy w mieszkaniu Adama młodzi ochotnicy podpisywali symbol polityczny polski, Karol Albert wypowiedział wojnę Austrii, przechodził granicę. Szczupły zastęp polski, zamierzał z nim się połączyć.

Orpiszewski naturalnie pozostał na miejscu. Zapoznał z bliskimi sobie Zygmunta Krasińskiego, a kiedy ten niedługo później, udając się do Niemiec, Rzym opuścił, w ciągłej z nim zostawał korespondencji. Przechowane w rodzinie listy autora *Irydiona* świadczą o serdecznym jego z Orpiszewskim stosunku. Patrząc na to, co się wtenczas w Niemczech działo, pisał do niego: „Siedź ty w Rzymie, nie wyzieraj na bałwany pieńiące się niemieckiej zaalpejszczyzny, ty coś już dość się napił słonej wody żywota; czekaj aż się umysły trochę odburzliwią,“ z tęsknotą zaś wracając do myśli spotkania się z nim napowrót, dodawał: „Kiedyż się zobaczymy? może nigdy; to jest na ziemi, bo za ziemią jużci gatunkowe prawo rządzące duchami nas złączy, czyli mówiąc po polsku, kochający się za życia, odnajdują się za grobem“.

Wypadki wikłyły się coraz bardziej, a nadzieje upadały znowu. Rząd papieżki wewnątrz u siebie coraz więcej miał do czynienia, a wiązanie się nasze z rewolucją, położenie agenta utrudniało w Rzymie. Ślad tego znajdujemy w liście Krasińskiego z 28 lipca:

„Łączenie się nasze wszędzie, pisał on, z Rzpltą czerwona, odraża Papieża; pojętnem to — i to, że się tak fatalnie łączymy: idziem za cielesnym instynktem, za zemstą! Lecz ten tylko zmartwychwstaje, kto takie chucie naturalne, nadnaturalnemi przydeptuje cnoty i siły! Nic łatwiejszego jak zemścić się, nic trudniejszego jak odżyć! Jedno i drugie, to nie to samo, — należy wybór uczynić. Mam nadzieję, że duch polski po wielu próbach wybierze, i nie będzie tylko Irydionem zmuszonym znów za karę namiętnego żywota, spać wieki w namyślaniu się grobowem. Ale kąkol u nas co niemiara“.

Pomimo wszystkich trudności, trwał Orpiszewski na stanowisku swoim, własną raczej osobą i poszanowaniem jakie dla siebie wzbudzał służąc sprawie, niż czem innym; widząc wszakże coraz mniejszą pobytu swego w tym czasie użyteczność, prosił nareszcie ks. Adama, aby go od obowiązku agenta uwolnił. Książe Adam przychylił się do tego żądania, a chwilę odjazdu uznaniu samego agenta pozostawiając, prosił go tylko, w początkach listopada 1848 r., aby go uwiadomił o dniu, kiedy Rzym opuści. Niedługo później nastąpiły znane wszystkim w Stolicy świętej wypadki; mordestwo hrabiego Rossi, któremu Papież przeprowadzenie reform był powierzył, strząsało do Kwirynału. Dnia 16 listopada Pius IX schronił się do Gaety. Po jego odjeździe wzmożły się jeszcze fale rewolucyjne; miała być ogłoszona Rzeczpospolita, rewolucyjny tryumwirat miał objąć rządy nad papieżkiem państwem. Orpiszewski jeszcze czas jakiś na miejscu pozostał, starając się wstrzymać znajdujących się w Rzymie rodaków od łączenia się z rewolucją; nareszcie, d. 6 grudnia wyjechał do Civitta Vecchia, nie chcąc dłuższym pobytem w stolicy zwracać na siebie podejrzenia, że sam się w przekonaniach swych zachwiał. Uwiadomiony o tem Gabryel Mastai, który Papieżowi w Gaecie towarzyszył, napisał mu, że Ojciec święty wdzięcznie to przyjął i pochwalił. „Nie mogłeś, dodawał, pozostać w Rzymie bez narażenia swojej reputacyi, wyjazd twój jest potwierdzeniem i usprawiedliwieniem polityki, jakiej byłeś przedstawicielem“.

Przed odjazdem z Rzymu, chciał Orpiszewski pożegnać monsignora Corboli, którego szczerzej przyjaźni doznawał ciągle. Zawalonego pracą, bo Ojciec święty odjeżdżając, zostawił go w stolicy, widzieć nie mógł, ale odebrał od niego list, którym zamknął ogłoszone później Wspomnienia swoje ¹⁾. Skromność nie pozwoliła mu powtórzyć go w całości, dodajemy więc tutaj opuszczony tam ustęp:

„.... Co się Pana tyczy, nie zapomnę nigdy ani tej szczerości pełnej prostoty, ani tej delikatnej ostrożności, które cechowały postępowanie Pana we wszystkich ze mną stosunkach.

¹⁾ Kilka Wspomnień L. Orpiszewskiego, w Roczniku Tow. hist. lit. w Paryżu z 1867 roku.

Chciej więc zachować po mnie pamięć jako człowieka, który Cię ceni, jak na to zasługujesz, i który szczęśliwym będzie z każdej sposobności, aby Panu mógł usłużyć i okazać Mu swój najszczerzy szacunek“.

Pomimo wyjazdu z Rzymu, stosunki z Gabrielem Mastaim nie przerwały się wcale. Orpiszewski kochanym był szczerze przez całą jego rodzinę, która go szanowała wysoce, matka Gabriela nie mogąc wyuczyć się nazwiska naszego Ludwika, zwała go zawsze swoim miłym *Polacchino*. Korespondencya trwała długie lata, a książę Adam znający ją, pisał do byłego agenta: „Twoja korespondencya z Mastaim, jest prócz innych dowodem, jak przezornie, jak ze skutkiem umiałeś prowadzić się w Rzymie“.

Kilka miesięcy spędził jeszcze Orpiszewski we Włoszech, dzieląc się wiadomościami i postrzeżeniami swojemi z Krasińskim i Mastaim; służył nawet za pośrednika między nimi. Kilka razy w tym czasie synowiec papieżki zaciągał zdania polskiego poety o położeniu ówczesnem i toczących się wypadkach, a w odpowiedzi, kilka w tym przedmiocie memoryałów autora *Psałmów przyszłości*, przez ręce byłego agenta, przeszło. Rozmaicie wtenczas zapatrywano się i na pobyt Ojca świętego w Gaecie, i na sposoby jakimi najstosowniejby było wrócić mu do Rzymu. Odpowiadając na jeden z listów synowca papieżkiego, pisał do Orpiszewskiego Krasiński d. 4 stycznia 1849 r.

„Największa bieda, że Pius IX i jego synowiec, jeden anioł, a drugi najpoczeiwszy z ludzi nie aniołów, obydwa nie pojmują położenia wszechświatowego; nie widzą ani przepaści nad którą stoi Bóg w nich; ani Nieba do którego by się odrazu wielkim czynem jakim mogli podnieść, aż się płakać chce. List łączę doń niezapieczętowany; przeczytaj, i zaraz, gdzieby nie był, bo może już nie będą w Gaecie, racz posłać. Tam zawarte wszystkie myśli moje o położeniu ich, powiedz mi, czy zgodne z twojemi? Oczewiście, że papież begunów chciałby Papieża południa wykraść. Gdyby mu pomógł nawet, toby go zaraz pomocą swą zgubił. Wie o tem doskonale. Wszystko nad miarę smutnem..... Austria zwycięża terorystę Kossuta za pomocą Słowian dynastycznych, ale pod maską dynastji dochodzących do narodowego bytu, zaprzeczanego im przez Węgry. U nas demagogia wre; wkrótce przeczuwam, że się wysili,

przesili, zbezsili, wtenczas będzie można myśleć o sile narodu, więc i o jego zmartwychwstaniu. Rok 1848 i najgłupszego nauczyciela rozumu i doświadczenia, szelmów kilku nie przekona; ale to *minoritas*; większość, z głupców lub szalonych. Odgłupi ich i odszaleni rzeczywiście dziejów europejskich. Lecz klęsk, klęsk, klęsk co niemiara się zbliża! Teraz nie do wolności zdąża świat, lecz ku despotyzmowi powszechnemu, okropnemu. Ludy na wolność dobyte wszędy niedołężnymi się okazały, wszędzie same popsuły sprawę swoją. Wszystkie sejmy godnymi były tylko *skoku przez okno*. Bóg spuścił był chleb, ale zębów niema; trza czekać aż się wykłują, bo u jednych były same dziąsła, to nie zęby, u drugich kły same, to nie zęby, by można spożyć po ludzku Boży chleb!*

Z wyjazdem z Rzymu, skończyła się dla Orpiszewskiego polityczna służba. Wynosił z wiecznego miasta, oprócz szczerego szacunku osób, z którymi w stosunkach zostawał, jeszcze głębsze na sprawy ludzkie wejrzenie a niewzruszoną już dla Kościoła wierność, w której się do końca ani na chwilę nie zachwiał.

V.

Opuściwszy Włochy, chciał Orpiszewski dostać się do Księstwa Poznańskiego. Walka tocząca się w Badeńskim zmusiła go zwrócić się do Szwajcaryi i tam na czas jakiś rozbić swój namiot wędrowny. Wybiegał ztamtąd często do Heidelberga i innych miejsc sąsiednich, dla spotkania się z Zygmuntem Krasińskim, który wtenczas tam bawił, i z którym nieraz całe tygodnie spędzał, bo rzymska zażyłość w coraz ściślejszy teraz zmieniała się stosunek. Horyzont polityczny był chmurny i groźny. W Węgrzech wrzała walka, której wmieszanie się Rosyi prędki zapowiadało koniec, a lała się tam i krew nasza. Książę Adam, pod wpływem tych wypadków, na kilkanaście dni przed poddaniem się Görgeja pisał do byłego agenta: „Nigdy w życiu nie pamiętam aby smutniej było. Węgrzy podobno potrafili wstrzymać niezmiernie siły koalicyi, ale trzeba znaczniejszych zwycięstw, aby w Europie skutkowały. Nie wiem dla czego wiadomości zwycięstw nie zostawiają po sobie pociechy. W każdym przypuszczeniu przyszłość jest pomieszana, niepewną bez

światła. Jeżeli zaś Moskale przemogą, to Polska poniesie ostatni cios, trzeba będzie zwinąć naszą budowę polityczną, bo nie będzie czem i poco ją utrzymać.“ Krasiński zawsze z góry zapatrujący się na wypadki, a oceniający je z własnego stanowiska w rozpaczliwych kolorach widział przyszłość. W końcu września 1849 r. pisał do Orpiszewskiego z Hejdelbergu.

„Ogromnie się troskam o naszego drogiego (jenerała Zamojskiego) żeby go czasem półksiężyc nie zdradził. Jeżeli go będziesz mógł widzieć wkrótce lub doń napisać, powiedz mu, że jedyną był dniem i nocą myślą moją gdy Europę porzucał, (Zygmunt Krasiński wracał właśnie do ojca do Warszawy) że wciąż Boga o jego całość błagałem, i że błagam jego samego, by się teraz już nie puszczał na żadne dalsze błędy, lecz spokojnie wytechnął, a wiedział, iż jeszcze będzie powołan i to do sroższych trudów i mąk niż te co przeszły, bo świata koleje pójdą parowym pędem. Coraz więcej będzie bez Boga w sercach, coraz więcej rozruchu na ziemi, coraz więcej i niebezpieczeństwa; zatem niech tego pewny będzie, bo choć na chwilę się wyda że porządnie, że martwo, że karnie, to wszystko tylko złudzenie, tylko partyi jednej zwycięstwem, a partya tylko na krótko zwycięża. Nie w mocy ni w naturze stronictwa żadnego na długo zwyciężyć i stale panować. Zatem niech wie, że wkrótce się znowu rozkołyszą bałwany, a stokroć będą niebezpieczniejsze niż pierwszą razą i kolor ich będzie całkiem odmienny! z żywej albowiem purpury będą! Wtedy trza będzie jak w arkę Noego ratować tonącą *zacość* na świecie! wtedy istotnie cnotliwych i silnych rozpocznie się era męczeńska. Powiedz mu to wszystko, niech go to utrzymuje w spokoju i nienarażaniu się przez czas, niech go to ochroni nam!“

Zaiste, nie było nigdzie pociechy; ale wtenczas, dobiegającemu już lat czterdziestu Orpiszewskiemu, jakby w nagrodę zacnego, a wypróbowanego żywota, gotował Bóg prawdziwe rozpozgodzenie. Po skończonej węgierskiej kampanii dostał się on następnie do Wielkopolski; dokąd z ojcem swym, hrabią Michałem Zyberkiem Platerem, przyjechała z dawnych Infantów polskich, córka jego Anna, którą nasz Ludwik w Rzymie już był poznał, a która miała stać się dożgonną i najlepszą życia jego towarzyszką. Ślub odbył się w Proszkach, u ciotki narzeczonej, pani Antoniny z Gajewskich Platerowej, d. 28 lipca

1850 roku, w przytomności ojca i braci. Z rodziny Ludwika nikt przybyć nie mógł, z obawy policyi rosyjskiej. pilnie strzegącej wszelkich z emigrantami stosunków; świadkiem więc z jego strony był dawny, z czasów domku Jańskiego przyjaciel, dawniej także emigrant, a w tenczas już w Poznańskim osiadły, hr. Cezary Plater. Od natury do życia rodzinnego usposobiony, i w niem od młodości rozmiłowany, miał Orpiszewski znaleźć w tym zaprawdę błogosławionym związku tyle szczęścia, ile go człowiek z sercem i Polak czuć może, „kiedy go niema w Ojczyźnie.“ Spełniały się więc choć późno rojenia lat młodych, tylko w odmiennej o tyle postaci, że nie na rodzinnej ziemi, i że cugi kujawskie o jakich jadąc do uniwersytetu marzył, zastąpiło serdeczne a poważne nowych obowiązków pojęcie.

Pierwsze miesiące nowemu małżeństwu zeszyły w Gościszynie, gdzie p. Maciej Mielżyński gościnnie im dom, w którym sam nie mieszkał, ofiarował. Ojciec i bracia pani Orpiszewskiej życzyli, aby nowy członek ich rodziny osiadł na polskiej ziemi, a kiedy przed dawnym „Belwederczykiem“ zamknięte były ich ukochane Inflanty, przynajmniej w Poznańskim kawałek zimi kupić, i tam obyczajem przodków, gospodarstwu się oddać. Starano się otrzymać na to pozwolenie, ale wszystkie usiłowania były daremne; rząd pruski wszelkie starania się i prośby odrzucił. „Ależ Orpiszewski nie jest rewolucjonistą? mówiono władzom miejscowym. „Wiem o tem, odpowiadał Putkamer, lecz właśnie, dla tego tem bardziej mieć go nie chcemy; na rewolucjonistów mamy policyą i żandarmów i nie lękamy się ich, a ta ciągła konsekwentna działalność (diese kosekwente Wühlerei) stokroć jest niebezpieczniejszą; zresztą nie potrzebujemy wcale porządných obywateli Polaków, chcemy mieć jak najwięcej, i gdyby można, samych tylko Niemców.“ Nie było rady. W nadziei złagodzenia z czasem tego wyroku odwlekał Orpiszewski wyjazd, chociaż ciągły dozór policyjny pod jakim zostawał, był dla niego nieznośnym, aż wigilią Bożego Narodzenia w nocy, przyszła szałfeta od landratha, wzywająca go do Kościana. Urzędnik ten pokazał mu z Berlina nadesłany rozkaz, odstawienie niezwłocznie Orpiszewskiego do rosyjskiej granicy. Nie było chwili do stracenia, wyjechał zaraz do Dreżna, z kąd także w skutek nalegań posła rosyjskiego Szredera

wydalony, przeniósł się do Lipska, gdzie się z nim połączyła żona. I tam długo nie można było pozostać. W pierwszą rocznicę ślubu, rozstawszy się we Frankfurcie z hr. Michałem Zyberkim Platerem, który przez rok wspólnego z nim pobytu, bardzo się do zięcia swojego przywiązał, małżeństwo nasze pociągnęło dalej, a zatrzymawszy się w Lozannie z zamiarem spędzenia tam dnia jednego, za namową od dawna tam osiadłej rodziny Jundziłów, to miasto na stałe dla siebie obrało mieszkanie.

Książę Adam Czartoryski i Zamoyski, którzy z dawną stałością postanowili na drodze swej wytrwać i pomimo wszystko „budowy swej, jak wyrażał się ks. Adam, nie zwijać,“ usiłowali nakłonić Orpiszewskiego, aby dalej w ich pracach politycznych brał udział, i albo do Rzymu powrócił, albo do Paryża się przeniósł. Nie dał się jednak namówić; myślił, że w Rzymie, zaraz po burzy jaka, przez wieczne miasto przeszła, nie było jeszcze co robić, na znane zaś już sobie życie emigracyjne w Paryżu żony narażać nie chciał, i w ogólności był przekonany, że najpierwszym jego na dzisiaj obowiązkiem było rodzinę po bożemu i po polsku wychować, a życiem swoim w obcej społeczności poszanowanie dla imienia polskiego zdobyć; służenie zaś ojczyźnie na polu politycznych jak dotąd zachodów, odkładał do czasu, kiedyby wypadki wyraźniej udziału w tem jego zażądały. Do ofiary zawsze był gotów, duszy swej nie wyzębził i do zakresu prywatnych tylko interesów i potrzeb swoich nie zacieśnił, ale od czasu jak wyraźne i określone przyjął na siebie obowiązki, też same obowiązki na szali poświęceń swoich ważyć musiał.

Co się tyczy powrotu do Rzymu, Krasiński, który prędko tam zjechał, listami swojemi utwierdził go w przekonaniu niewracania na teraz do Stolicy Świętej. W grudniu 1851 r. pisał ztamtąd do niego:

„Wielkiej pociechy doznaję w duchu, patrząc na Włochów; czuję, żeśmy czyści i kryształowi w porównaniu; godni, rycerzcy, szlachetni. Tu się charaktery tak roztopiły podczas burzy, że dzisiaj płynnem są błotem. Miałeś wdech wyborczy, że tu niema co robić tobie, chyba powietrzem oddychać i promień słońca z kawą pić — zresztą nic. To strach, jak każde wstrząśnienie społeczne serca ludzkie mieie na piasek i brud.“

Pozostał więc Orpiszewski w Lozannie, i odtąd, prócz rzadkich bardzo do Paryża wycieczek i kilkomiesięcznego raz jeszcze w Rzymie pobytu, już się przez całe ćwierć wieku ztamtąd nie oddalił. Lata te, tak obfite w wielkie wypadki wstrząsające Europą i nieraz zmieniające jej postać, w jego osobistym życiu żadnych prawie zewnętrznych zmian nie przyniosły; narodziny dzieci, których sześciorgo dał mu się Pan Bóg doczekać, były najważniejszymi domowego świata wypadkami, troski około ich wychowania, głównem życia zadaniem.

Nie stał się pomimo to Orpiszewski obojętnym świadkiem tego, co się na świecie działo. Każdy z wypadków, bliżej lub dalej dotykających Polskę i Stolicę Świętą, potraçał czujnego zawsze ducha jego, a serce to dzieliło z całym narodem, jeżeli nie wszystkie ułudy i chwilowe nadzieje, to niezawodnie wszystkie z kolei klęski, cierpienia i coraz sroższą niedolę. Pracą wewnętrzną zespalał się coraz bardziej z Kościołem, ale po Bogu i Jego Kościele, pierwsze mu w duszy zajmowała miejsce ojczyzna, a rosnąca pobożność tylko nieśmiertelności swojej nadziejom i uczuciom jego ziemskim użyczała. Osobą swoją nie biorąc udziału w sprawach publicznych, myślą i piórem służył Polsce. Jak wychowując dźwiatwę ciągle kraj miał na myśli, tak i pióro biorąc do ręki, tenże kraj miał na celu. Pisarstwo nigdy nie było u niego rzemiosłem, ani sztuką dla sztuki; było zawsze i jedynie obywatelstwem. Tęsknoty, w całej rozciągłości swojej znanej tylko wygnańcom, ani piękności stron obcych, ani nawet szczęście domowe ukołysać całkiem nie mogły, ale kiedy z nad brzegów uroczego genewskiego jeziora i z objęć ukochanej żony i dźwiatwy uciekał duchem do stron rodzinnych, w których mu zeszły bezobłoczne dzieciństwa i młodości lata, a pamięć serca z najdrobniejszymi szczegółami odtwarzała mu tameczne obrazy, pracująca zawsze myśl jego nie przestawała szukać odpowiedzi na to straszne pytanie, w czym tkwiły tajne i fatalne przyczyny tragicznej doli naszej? Pierwszym owocem tych jego uczuć i rozmyślań była powieść w dwóch tomach, najobszerniejsza co do rozmiarów praca jego, p. t. *Putkownik, czyli Różny los dwóch kolegów szkolnych*, wydana w Paryżu w 1858 r. pod imieniem Ludwika z Krzewia, które przybrał sobie od nazwania jednej z wiosek, należących do rodzinnej jego Kłóbki. Głośnie w owym czasie pismo: *Wiadomości*

polskie, zdając w tymże roku sprawę z tej pracy, słusznie powiedział: „że powieść ta ukazuje Kujawy w świetle rzuconem z tak rzewną miłością, że staje się niemal poematem miejscowym, epopeją kujawską.“¹⁾ I nie dziw; Orpiszewski o zakątku swoim mógł śmiało powiedzieć, jak autor „Tadeusza“ o ukochanej Litwie:

Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Ale znaczenie powieści nie ograniczało się na tem. Obejmowała ona niejako dzieje nasze od konstytucyi 3go maja do węgierskiej Bema kampanii, a raczej dzieje rozmaitych pojęć dzielących naród i górujących w nas podczas całej tej epoki, w ostatecznym zaś wyniku swoim wskazywała główne źródło nieszczęść naszych w tych wadach, które jak zrodziły Targowicę, tak i późniejszej niesforności były ciągłą przyczyną. Nie jeden pisarz później obszernie to rozwinął, i mamy dzisiaj cały szereg myśli i postrzeżeń w tym kierunku, które już stały się własnością wszystkich, ale pamiętać należy, że Orpiszewski był jednym z pierwszych, który własnem wyteżeniem myśli i uczucia doszedł do tych przekonań, i to źródło klęsk, z bólem ale z miłością, narodowi wykazał. — Cała zresztą praca nieposłedniemi odznaczała się zaletami. Przytoczony wyżej krytyk tak ją ocenia:

„Działanie ciągle tu jest żywe, zajmujące, a przy wielkiej swobodzie w karb moralnej dążności ujęte; charaktery niektórych osób wybornie schwyczone, wydane i utrzymane. Dramatyczność w scenach, obrazowość w opisach niekiedy uderzająca, zawsze odznacza się naturalnością i prawdą, do czego wielce przyczynia się niepospolity dar zachowania w stylu świeżości i prostoty mowy potocznej. Szczegóły miejscowości, domowego życia, dawnych obyczajów, rozsypane tu i owdzie jakby od niechcenia, jakby z pamięci przepełnionej niemi, tchną jakąś wonią łąk i pól naszych, sprawiają miłe i rzewne wrażenie. Autor uniknął szczęśliwie dwóch niebezpieczeństw grozą-

¹⁾ Autorem tej pięknej recenzji był zmarły przed kilkoma laty Felix Wrotnowski, znany historyk powstań na Rusi i Litwie.

cych każdej powieści historyczno-tendencyjnej, mianowicie odnoszącej się do czasów, których zasięgnął: niesmaku oklepanych postaci szlacheckich, obracających nieraz przeszłość naszą w karykaturę i stronniczości. Jest i u niego ta szlachta kontuszuwa i karabelna, co po dawnemu huczy, rąbie się i pije, a jednak umiał ją nam z innych stron tak pokazać, że poglądamy na nią bez wstępu, z upodobaniem, z jakimś szacunkiem synowskim. Postawił i on reprezentantów stronnictw, zdobiąc jednych w przymioty, odsłaniając drugich wady, ale swego przywileju autorskiego nie nadużył, ni zbyt biało, ni zbyt czarno, dla dogodzenia swoim skłonnościom politycznym nie malował. Można nie zgadzać się z nim w sympatyach, a jednak sympatyzować z jego książką, czytając zrosić ją łzą patryotycznego wzruszenia. Zkądże to wszystko pochodzi? Oto ztąd, że autor brał pióro do ręki nie dla tego, żeby jaki ustęp dziejowy „artystycznie obrobić,” albo jaką opinię zręcznie wyfortytować, ale że mu pocziwe serce polskie, przepełnione żalem, smutkiem i miłością, kazało pisać. . . . Książka ta, pełna wdzięku, zdrowego rozsądku i zacnych uczuć, pomimo niedostatków swoich i braku rozwinięcia, w drugiej szczególniejszej części, pod względem sztuki, niewątpliwie zajmuje chlubne miejsce pomiędzy znakomitszymi utworami tego rodzaju, a z innych względów zasługuje na szacunek i współczucie.“

Pisząc swojego *Pułkownika* i długo jeszcze później, z największym upodobaniem zajmował się Orpiszewski historią narodową. Wpółród tych studyów powstał też dramat, zaledwo w kilkanaście lat potem wydrukowany, p. t. *Mikołaj Zebrzydowski*, który pomimo niedostatków scenicznych, zawiera głębokie poczucie głównego grzechu naszego, pychy i jej zgubnego wpływu na sprawy i losy krajowe. Wtenczas to, gotując się do uczenia kiedyś dzieci własnych, próbował on poglądy swoje na dzieje nasze zlać w jedną całość. Dość spory rękopism, jaki zostawił, doprowadza te dzieje do panowania Jana III i szczerze żałować przychodzi, że wobec obszernych dzieł historycznych Szujskiego i Morawskiego, dokończenia tej pracy zaniechał, bo chociaż dla braku źródeł i naukowych pomocy, jakich w Lozannie mieć nie mógł, zapewne pod względem ścisłości i bogactwa nagromadzonych faktów, z tamtymi mierzyć się nie mogła, nie mniej dla tego zawierać musi wiele głębo-

kich i oryginalnych nad charakterem narodowym postrzeżeń, wiele trafnie i z talentem narysowanych portretów, a może i rozwiązanie nie jednego z zagadnień przeszłości naszej.

Z nagromadzonych przy tych studyach wiadomości czerpał Orpiszewski materiały do krótkich opracowań, jakie w języku francuzkim ogłaszał, ilekroć uczuł gorętszą potrzebę przypomnienia obcym przeszłości naszej. Takim sposobem pozostały wydane w Lozannie książeczki jego: *Les grands capitaines de l'ancienne Pologne. Notice historique.* — *Le cardinal Stanislas Hozius, évêque de Varmie, légat du Saint Siège au concile de Trente* — i *Le cardinal Oleśnicki*. Jednocześnie prawie, nie tracąc z oczu wypadków politycznych, wydał jeszcze w 1860 i 1861 r. dwie broszury francuzkie, uderzające tem, że o lat kilka poprzedziły bitwę pod Sadową: *Coup d'oeil sur l'histoire de la maison d'Autriche* i *La Pologne, le germanisme et le czar de Moscou*. Wracając zawsze do myśli, które w przytoczonej już przez nas pracy swojej z 1842 r. wyłożył, w pierwszej z tych broszur dowodził, że dom Habsburgski nie powinien się upierać przy Włoszech i Niemczech, ale połączony z Francją napoleońską, Austryę zamienić na państwo polsko-węgierskie; w ostatniej zaś, powtarzając, że Niemcy niezawodnie i bardzo rychło przejdą w ręce Prus, że Austrya przy żadnej części Włoch utrzymać się nie będzie mogła, a sojusz Rosyi ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki północnej leży w naturze rzeczy, nalegał na konieczność uorganizowania państw w Europie przeciw temu ostatniemu, a niechybnemu niebezpieczeństwu.

Takie były prace literackie i polityczne Orpiszewskiego w tej epoce; ale większego nad nie znaczenia było codzienne jego życie. W oddaleniu od Polski i wśród społeczności protestanckiej, było ono nieustanną, spokojną afirmacją katolicyzmu i polskości. Wiara jego była szczera, głęboka, a zupełnie prawowierna; miłość ojczyzny gorącą jak w młodych latach, tylko doświadczeniem i rozmyślaniem oświeconą; pobożność nie drobiazgową i ciasną, ani ponurą i oddalającą od ludzi, lecz prostą, serdeczną, z duszy płynącą, która wiodła do zgodzenia wszystkich czynności życia z prawdą wewnątrz przyjętą, a pomocy ku temu szukała w sakramentach. Najlepszą we wszystkim znajdując pomocnicę w ukochanej towarzysze swego ży-

cia, czuł się on głową rodziny i wszystkich spraw domowych kierunek brał na siebie. Porządek i pewna, konieczna ścisłość zaprowadzone były wszędzie; ułożony na początku roku budżet obejmował wszelkie gałęzie wydatków; szeroką wśród nich rubrykę zajmowali ubodzy i miejscowy katolicki kościółek, bo ten przez nielicznych parafian utrzymywanym być musiał, a najmożliwszymi z nich byli Orpiszewscy; wszystkie wydatki rodziny zastosowane były ściśle do możliwości i nigdy, w ciągu lat dwudziestu kilku, dla żadnej fantazyi, chociażby najpowabniejszej i z pozoru najbardziej szlachetnej, budżet ten przekroczonym nie był; gdy jaka ważniejsza a niespodziana, publiczna czy prywatna, napotkała się potrzeba, ujęto dla zaspokojenia jej cokolwiek z bieżących wydatków, ale nie zahaczano przyszłości, co u nas tak często się zdarza. — Orpiszewski sam w gustach i upodobaniach swoich nadzwyczaj był skromny; pomimo rozwiniętego w czasie pobytu w Rzymie uczucia estetycznego, na zaspokojenie go w około siebie nigdy sobie łożyć nie pozwolił. Patron jego, św. Ludwik, co włosienicę nosił na ciele, a płaszcz królewski, gronostajami podbity, miał tylko dla powagi majestatu, dla urzędu, był jego ideałem. Jedyne żywsze jego upodobaniem były konie; potomkowi dawnej krwi szlacheckiej, bułany rannych lat wierzchowiec przypominał się jeszcze i przy schyłku życia; ale i tej przyjemności przez jeden rok tylko sobie pozwalał, i to wtenczas, kiedy mu lekarze jazdę konną dla zdrowia zalecili. Zresztą przy szerszych środkach nie czuł sam większych potrzeb niż je miał w czasach najskromniejszych dochodów. Największą przyjemnością jego było obcowanie z lepszymi pisarzami naszymi; kroniki też dawne, psalmy Kochanowskiego, utwory współczesnych sobie wieszczów naszych z prawdziwą rozkoszą odczytywał. Czytał wybornie i o tem wiedział, to też chętnie do głośnego czytania, zwłaszcza poezyj, uprosić się dawał. Towarzyski z natury, ludzi nie unikał, w obcowaniu z nimi był łatwy, przyjemny, delikatności pełen; w rozmowie żywy i często oryginalny, w przyjęciu gościnny i szczerzy.

Dla kochającego serca a chrześcijańskiego sumienia, wychowanie dzieci musiało być najwალniejszem życia zadaniem; ono też ciągle zajmowało myśl jego. Kto zaś wie, jak trudno jest, nietylko w duchu narodowym wychować, ale nawet ro-

dzinnego języka wyuczyć dziecko zrodzone i rosnące wśród społeczności zupełnie obcej, której atmosferą oddychać i wrażeniami poić się musi, ten dopiero zda sobie sprawę z ustawnych wysileń, z prawdziwego, że tak powiemy, cudu rodzicielskiej miłości, jakiego potrzebowali Orpiszewscy, dla wychowania tak po polsku, jak tego dokazać potrafili, licznej swojej rodziny. Komu z rodaków danem było odwiedzić Lozannę, i przed kim uchylały się drzwi cichego domu wygnańczego w Villamont, ten z rozrzewnieniem uczuł się tam w atmosferze zupełnie mu swojskiej, w atmosferze patryarchalnej, serdecznej, katolickiej i nawskróś polskiej, szlacheckiej rodziny, i pewno wrażenia tego nie zapomni.

Wśród takich zatrudnień i uczuć rozległa się około Orpiszewskiego wiadomość o wypadkach warszawskich 1861 r.; wstrząsnęły go one silnie jak wszystkich, i nową napełniły otuchą. W drugiej połowie następnego 1862 roku na prośbę ks. Władysława Czartoryskiego udał się do Rzymu, aby korzystając ze znajomości miejsca i reszty dawnych stosunków, raz jeszcze Stolicy świętej wiadomość o stanie Kościoła w Polsce przynieść. Mało już dawnych znalazł tam przyjaciół. Jeszcze w 1853 r. z powodu śmierci O. Rothana, generała Jezuitów, pisał do Zamoyskiego: „Tak niedawno z Rzymu wyjechałem, a już trzeci i ostatni, z którymi najłatwiej było o Polskę mówić: Castracani, Corboli i on poszli za nami gdzieindziej się wstawiać, jeśliśmy warci!“ Ale Ojciec święty, pomimo ubiegłych dziesięciu lat przeszło, z dziwną pamięcią swoją, byłego agenta polskiego poznał odrazu i z dawną łaskawością przyjął i wysłuchał. Spędził wtenczas Orpiszewski kilkanaście tygodni w Stolicy świętej. Na parę dni przed pożegnalną audyencją przyszła do Rzymu wiadomość o wybuchu 22go stycznia 1863 r. Posłuchanie było smutne, bo Pius IX z ojcowską troskliwością mówił o prawdopodobnych skutkach powstania nowego.

Rzeczywistość okropnością swoją prześcignęła najtrwożliwsze obawy, a niewysłowione nieszczęścia, jakie na biedny kraj spadły, przebolano głęboko w polskim domu na Villamont. Do wszystkich cierpień ogólnych, narodowych, przybył jeszcze dręczący niepokój o los rodziny, krewnych i powinowatych, w Kujawach i na Inflantach, tak srodze doświadczają-

nych wtenczas; a kiedy w końcu z tej strony przyszło uspokojenie, ogólna wszystkiego w kraju ruina, kirem swoim na długo przytłoczyła dusze. W sierpniu 1864 r. pisał Orpiszewski do jednego z przyjaciół: „Rzeczy, które mnie najwięcej zajmowały, historia i literatura polska, bołą mnie teraz. Przymuszam się, żeby je dzieciom wyklądać. Jak wejść między dawnych hetmanów, to jakaś bolesna zgroza duszę przejmuje.“

Nie zmienił sposobu życia; w rocznym tylko budzecie nowa szeroka przybyła rubryka, na potrzeby przechodzących przez Łozannę nowych wychodźców naszych, którym w miarę możliwości niósł pomoc. W gruncie i wiara jego w przyszłość narodu nie zmieniła się. Pomimo całej chwilowej ruiny, widział on tylko konieczne przeobrażenie, ale nie śmierć wcale. Pisał wtenczas: „Sprawa przechodzi w ręce włościan, połączonych ze szlachtą i mieszczaństwem. Z której warstwy wyjdą przyszli hetmani? — zapewne ze wszystkich, a wizerunki starych hetmanów będą wszystkim przyświecać, bo w oddaleniu wieków stare pasy i żupany atlasowe pogniły, aureola tylko nieśmiertelności ponad głowy świeci!“ Ale spełnienie niedawnych jeszcze nadziei widział odroczonem daleko i od współczesnych sobie starań niczego się nie spodziewał. Praca literacka już go przestała zajmować. W cztery lata po nieszczęśliwych wypadkach, gdy na prośbę przyjaciela napisał swoich *Kilka wspomnień z 1830 i 1831 r.*, zostawiał mu wszelką wolność zrobienia z tem co zechce, opuszczania lub zmieniania nawet wyrażań, bo powiadał: „O nie mi już *dla mojej osoby* nie idzie, tylko o dobre sumienie przed Bogiem, o przyjaźń kilku jeszcze osób na świecie, zresztą: Polska i dzieci — wszystko inne już nie interesuje.“

Raz jeszcze w 1869 r. wziął pióro do ręki i napisał ostatnią już swoją polityczną broszurę, p. t. *Les comtes de Cavour, de Bismark, de Gołuchowski et Napoleon III*, w której wskazywał na konieczność dla Europy, wobec nowej potęgi niemieckiej, połączenia na głowie Habsburgów trzech dawnych koron jagiellońskich: polskiej, węgierskiej i czeskiej. Nie przeczuwał tym razem, że wypadki tak prędko rozbijają jego ułudy co do cesarza Francuzów i polityki ks. Bismarka. Wojna 1870—71 roku, niespodziewane klęski Francyi, były ciężkim ciosem dla niego. Jak wszyscy Polacy, głęboko przeboleał nie-

szczęścia bratniego narodu. W 1872 r. pisał do przyjaciela: „Co Pan Bóg dzieciom da, nie wiem, ale za naszego życia nie spodziewam się rozwidnienia na europejskim horyzoncie. Rzym, Paryż, Warszawa, Wilno przyciśnięte, co mi po innych miastach?“ Przeznaczonem mu było zobaczyć jeszcze powszechną prawie, a nawet w Szwajcaryi zaostrzoną wojnę przeciw Kościołowi.

Pełnemu smutnych przewidywań ciężkich dla następnego pokolenia doświadczeń i groźnego dla świata kataklyzmu, jedyną na ostatnie lata pociechą była rodzina, w której podrastające dzieci coraz większą przynosiły radość; jedynem na wszystko pokrzepieniem, modlitwa. Chwilami zajmował się jeszcze przypominaniem cudzoziemcom Polski, o której powszechne prawie zapanowało milczenie, i w tym celu ogłaszał w wydawanym w Lozannie dzienniku tłumaczone przez siebie wyjątki z Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Bohdana Zaleskiego, Kochanowskiego, Trembeckiego i Krasickiego. Na usilne nalegania dzieci zabrał się nawet do spisania wspomnień z całego życia, ale już ich dokończyć nie miał; zaledwo w tem opowiadaniu, dla własnej jedynie rodziny przeznaczonem, doszedł do czasów uniwersyteckich, i tylko zatrzymał się na chwilę, aby jeszcze kilka bajek biskupa warmińskiego przetłumaczyć, bo te największe między Szwajcarami obudziły zajęcie, już pióro z ręki wytrąciła mu choroba, a miała być dla niego ostatnią. Jakby w przeczuciu bliskiego końca, na jednej z dopiero wspomnianych kartek, mówiąc o pierwszym nauczycielu lat dziecinnych, znanym już nam Wieluńskim, zapisał następujące wyrazy: „Dotąd pamiętam daty, które on cytował, a wiatr patryotyczny i ztamtąd zawiewał. Wszystko się składało, aby ze mnie kiedyś zrobić tułacza. Niech jednak za to Pan Bóg pochwalon będzie; życie się kończy, a mimo kilkuletniego tęsknego i mniej wygodnego życia, oddychało się lat tyle pełniej i duchowniej, niżeli się to zdarza całym pokoleniom czasem. Zostawię synów i córkę pod opieką Boską, a umrę z wdzięcznością ku świętej Opatrzności, jeśli będę mógł powiedzieć: Błogosławię was dzieci, ja grzesznik wprowadzie, ale prawdziwy katolik i Lach!“ Był zaprawdę jednym i drugim do ostatniej życia chwili.

Choroba trwała niedługo; już nawet zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy nagle groźne ukazały się symptomata. Łaknący sakramentów chory wezwał kapłana, i spowiedź odbywszy, ciało i krew Pańską przyjął. O Ostatniem Pomazaniu nie myślano, bo nikt nie przypuszczał, aby ostatnie chwile takby bliskie. Doktor za kilka dni jeszcze ręczył, kiedy w nocy (z 21go na 22gi lutego) żona i dzieci nagłą zmianę w rysach postrzegły. Śmierć stała już przy łożu. Jeden z synów pobiegł po proboszcza, ale zanim ten zdążyć potrafił, już umierającego na ziemi nie było. Jak patriarcha, otoczony całą rodziną, która w tej chwili duszą jego przedewszystkiem zajęta, na kolanach, w gorącej modlitwie polecała ją Bogu, odmówił jeszcze wyraźnie Zdrowaś Marya, krucyfiks ucałował, sam oczy zamknął, i zasnął w Panu snem sprawiedliwego.

Pogrzeb był prawdziwym ziemskim tryumfem, świadectwem pełnego cnót żywota. Cała szwajcarska ludność protestanckiej Lozanny, w chwili rozjątrzenia przeciw katolikom i prześladowania ich u siebie, zebrała się niezapraszana, aby ostatnią oddać posługę temu, który żadnego urzędowego wśród niej nie zajmował stanowiska, ani bogactwem nie świecił, a przez ćwierć wieku otwarcie i głośno wyznawał się katolikiem i Polakiem. Wysocy urzędnicy kantonu, profesorowie tamecznej akademii, schylali ubielone głowy i z rozrzewnieniem żegnali zwłoki tego cudzoziemca-katolika, który, jak wyrażali się sami, był dla nich ostatnim przedstawicielem prawdziwego rycerstwa, najwyższym wzorem istotnego chrześcianina. "Nie ma w Lozannie zwyczaju wnoszenia ciał zmarłych do kościoła. Ś. p. Ludwik wspominał nieraz, „że smutno tam umierać, bo i do kościoła nie wniosą.“ Uwiadomione o tem władze miejscowe oświadczyły, że Orpiszewskiemu niczego odmówić nie mogą. Sprowadzono katafalk z Vevay, i osierocona rodzina miała pociechę wobec tych drogich zwłok pomodlić się jeszcze w tym kościele, gdzie tyle razy ze zmarłym wspólnie do świętych przystępowała sakramentów. Znalazł się i kapłan Polak, co z garstką rodaków litanię do Matki Boskiej i Anioł Pański w ojczystym języku przy trumnie odmówił. Polacy na rękach zanieśli ją na cmentarz, gdzie zwłoki tymczasem złożone zo-

stały, zanim się w Kłobce, z popiołami rodziców i dwóch pierwszych opiekunek dzieciństwa, przy kościółku św. Prokopa połączą. Wieczny pokój jemu, a nam podobne do niego życie i śmierć, racz dać Panie!

Sierpień 1875 r.

Bronisław Zaleski.



F. 7949